Nr. 46. Lwów, Niedziela dnia 14. Lipca 1878 r. **Tom VII.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

NARODOWOŚĆ POLSKA

POD PANOWANIEM NIEMIECKIEM

przez

KAROLA LIBELTA.)

(Ciąg dalszy.)

Jak domowe wychowanie jest początkiem narodowości, następnie strażnicą, aby szkolne wychowanie przeciwnego i zgubnego kierunku nie brało; tak życie publiczne, do którego nas nauki sposobią, jest dokończeniem, mężkością i powagą narodowego żywota. W narodzie niepodległym najświetniejsze tu otwierają się pola talentom narodowym. Wojsko, duchowieństwo, dykasterye cywilne, nauka, literatura i sztuki, handel i przemysł, sejmy prawodawcze, zgromadzenia i stowarzyszenia obradujące, różnego rodzaju assocyacye — to areny popisu dla narodowego ducha. Każdy geniusz tu roztacza promienie światła swojego po całym kraju, a i po za jego kresami. Każdy talent dźwigany tu pomocą rządu i możnych, a niesiony opinią tysiąca tysięcy współobywateli.

Nie ma tej świetności i tego dalekiego rozgłosu dla narodowości podbitej, jeżeli chce działać w interesie i zakresie własnego plemiennego pochodzenia. Same tylko geniusze, mianowice artystyczne, zdolne sobie otworzyć szersze pole popisu. Wszelkie inne zabiegi i pomysły, w narodowej występujące barwie, nie sięgają po za zakres współplemieńców; uważane z góry jako odrębności nieuprawnione: zawsze podejrzywane o jakieś ukryte cele polityczne, choćby tylko dla tego, że konserwują narodowość upadłego i podbitego pokolenia, jakby w intencyi przechowania narodowego materyału do przyszłej niepodległości.

Żyjemy w czasach, gdzie tu w Niemczech, na te podejrzenia i wypływające z nich rozporządzenia władz, co krok napotykamy. Są to konieczne następstwa żywotnej siły państwa, przenoszącego interes własny po nad interes prawa narodowościowego, choćby zagwarantowanego traktatami, ale zawsze niedogodnego. Nadają się gwarancye w nadziei, że po pół wieku, po stu lat, staną się niepotrzebnemi. Wedle obliczeń zwycięzkiej statystyki, w tym przeciągu czasu podbita narodowość z plemieniem panującem zlać się powinna. Jeżeli obrachunki chybiły, następuje inna, pewniejsza metoda: ograniczanie, ukrócanie, omijanie, nareszcie zanegowanie tych gwarancyi. Czy to droga właściwa i skuteczna, to inne pytanie. To pewna, że odpowiedź na nie twierdząca, czy przecząca, nie leży w zwycięzcach, ale w zwyciężonych. Nam się wydaje, że jeżeli zalew panującej cywilizacyi niemieckiej i liczny napływ Niemców i żywiołów obcych po ziemiach niegdyś niepodległe słowiańskich, przez sto lat nie wyrugowały, ani nie osłabiły zagarnionej narodowości; — to nie dokażą tego dzisiejsze negatywne rozporządzenia władz germańskich. Sprawią ucisk, ale podniosą czujność i baczność krajowców, by nie poronić i utracić skarbu narodowego, który ostatecznie jest w ich uczuciach i w ich domowem ognisku, a nie we wrażych i czyhających na zgubę chęciach rządzącej niemieckiej władzy.

Najsilniejszą szkołą wynarodowienia jest niemiecka organizacya wojskowa, oparta na bezwzględnej uległości i karności. Świadkiem tego, wracający z wojska w rodzinne strony nasze wiarusy z miną bundziuczną i językiem na pół zgermanizowanym. Szczęściem, że czas służby nie długi, a wpływ poczciwej miejscowej wiary, co się z tych niemieckich nabytków wyśmiewa, wnet wygładzi te obce naleciałości.

Dykasterye urzędnicze, tak administracyjne, jak sądowe, w Prusiech, prawie do zera zredukowały gwarancye, niegdyś nadane językowi polskiemu. Wszystko się dziś odbywa w duchu i w języku panującym, z małymi bardzo wyjątkami. Z przysięgą złożoną na wierność królowi i rządowi — choć takowa tylko do stosunków prawnych i publicznych się rozciąga — wymagają dziś władze niemieckie, aby urzędnik nie Niemiec, wyzuł się z praw przyrodzonych narodowości swojej. Wszakże bywało, że rewidujący radca ziemiański szkoły w departamencie Bydgowskim, dziwił się, że nauczyciel, z rodu Polak i z Polką ożeniony, w domu z żoną i dziećmi swojemi po niemiecku nie mówi. Urzędnik Polak, w służbie pruskiej, należeć nie może do żadnego stowarzyszenia polskiego, chociażby tylko było naukowe lub przemysłowe. Duchowieństwo katolickie uważane tu za podniętę i bodźca narodowości polskiej. Odbierają mu, gdzie trzeba, inspektorat szkolny, a przeznaczają na inspektorów szkół katolickich często protestantów i osoby nie mające żadnego wyobrażenia o pedagogice. Jezuici i spowinowacone z nimi zakony i korporacye, wbrew istniejącym prawom wolnego stowarzyszenia, oddane na łaskę policyi. Instytut naukowy Sercanek w Poznaniu odebrał niedawno rozkaz rozwiązania się. Zakonnicy nietutejsi wydalani z granic państwa, wbrew ustawom traktatu Wiedeńskiego, zabezpieczającym pobyt każdemu Polakowi w ziemiach dawnej Polski.

Wobec tych dążności z góry nakazanych, a przeprowadzanych z dołu z całą usilnością i interesem niechętnego nam germanizmu, trudno dziś nie zauważyć, jak mylnemi były rozporządzenia naczelnej naszej władzy duchownej, mające na celu oderwać duchowieństwo od obywatelstwa, i przywracać język łaciński tam, gdzie od wieków zaprowadzonemi były przemówienia i modły obrządkowe w ojczystym języku. Bardzo o tem wątpić należy, byśmy zostali lepszymi katolikami, wyrzucając z rytualnego nabożeństwa naszego polskość. Cel tu jedyny, by z pominieniem interesów kościoła narodowego, tem ściślej spoić się z kościołem rzymskim. Nie tu jeszcze koniec postępu germanizującego. Jeżeli z taką łatwością — powiedzą nam — zmieniacie słowa polskie religijne na łacinę, której większa część z was nie rozumie; toć zmieńcież je raczej na niemczyznę, która wam przystępniejsza. Słuchajcie odtąd kazań w panującym języku, i módlcie się na książkach niemieckich. Będzie to dla was zarazem pożądana sposobność prędszego wyuczenia się niemczyzny. — Takie bywają

smutne następstwa źle lub jednostronnie obmyślanych rozporządzeń.

Z życia publicznego, gdzie się jeszcze mową rodzimą odezwać można, mamy sejmiki powiatowe i sejm prowincyonalny stanowy W. ks. Poznańskiego. Sejmiki i sejmy prowincyonalne na Szląsku i w Prusach wschodnich i zachodnich są czysto niemieckie; bo ludność polska tych prowincyi nie ma dla siebie zastrzeżonych praw językowych, jak to jest w księstwie Poznańskiem. Zgromadzenia te polityczne nie są publiczne i mają tylko głos doradczy, nie są więc szczególnego znaczenia wobec sejmu pruskiej monarchii w Berlinie i parlamentu niemieckiego, do którego Prusy z wszystkiemi swojemi prowincyami przystąpiły, i wcieliły także dawne ziemie polskie do Niemiec. Sejmiki obradują pod prezydencyą landrata czyli radcy ziemiańskiego, którym jest obrany i mianowany przez rząd urzędnik, dziś już wyłącznie pochodzenia niemieckiego; — sejm prowincyonalny ma za przewodników marszałka i wicemarszałka, których król mianuje. Zrazu bywał marszałkiem Polak, a jego zastępcą Niemiec. Od wielu lat marszałkostwo teraz należy do Niemca, a zastępuje go Polak.

Nie ma więc w obrębie tej szczupłe zakreślonej publicystyki krajowej pola do popisu oratorskiego, ile że i w tych ciałach obradujących język panujący coraz rozleglejsze zajmuje stanowisko. Przychodzi nam w pomoc prawo konstytucyjne o stowarzyszeniach. Można się zawiązywać w assocyacye i zgromadzenia do rozmaitych celów. Przedmioty polityczne ulegają kontroli policyi. Zgromadzenia muszą być na 24 godzin wprzódy władzy zameldowane, czas, miejsce i przedmiot rozpraw oznaczony. Policya ma prawo przez wysłannika swego zgromadzenie takie dozorować, a nawet w uznaniu potrzeby, takowe rozwiązać. Jeżeli zgromadzenie jest zarazem stowarzyszeniem politycznem, musi podać do wiadomości władzy statuta swoje i listę członków. Niepolityczne zgromadzenia i stowarzyszenia są od tej kontroli policyjnej wolne. Na wzór niemieckich powstały i między Polakami liczne stowarzyszenia i zgromadzenia. Jest więc sposobność i pora w rodzinnym języku o potrzebach publicznych radzić i stanowić.

Stało się u nas, że nie ludzie, ale czas i okoliczności wyrobiły rozdział społecznych stosunków między Polakami a Niemcami. Rozdział ten ze strony polskiej nie tchnie nienawiścią, ani niechęcią przeciwko współobywatelom niemieckim — coby nie było ani słusznem, ani sprawiedliwem. Wypłynął on raczej z przekonania, że między temi dwiema narodowościami nie ma ni wspólności celów, ni wspólności interesów. Co jest świętem i szanownem dla Polaka, jest obojętnem lub pogardliwem u Niemca. Uczucia smutku i wesela tu i tam z różnych płyną źródeł i nieraz wręcz sobie są przeciwne. Kiedy z powodu wypadków na wschodzie pod koniec 1831 roku, bolesnych dla serca polskiego, Niemcy współobywatele, urzędnicy i wojskowi wyprawili w Poznaniu radośne i wesołe uczty; wystąpili Polacy z kasyna, które dotąd było wspólnem obudwom narodowościom, i obok niemieckiego, powstało kasyno polskie. To był początek rozdzielania się stowarzyszeń polskich od niemieckich, które z każdym rokiem wzrastało, podsycane nowemi coraz drażliwościami, o ile ludność niemiecka potężniała w liczbę, znaczenie i zamożność. (C. d. n.)

ZA WINY NIEPOPEŁNIONE.

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Towarzystwo ze zdziwieniem spoglądało na Leszczyca, który od razu nabrał takiego wstrętu do cmentarza, gdzie przedtem tak chętnie przebywał i sam ich tu ciągnął; ale ulegając dziwacznemu żądaniu jego, zabrali się do powrotu. Leszczyc podał rękę żonie i poszedł przodem, chcąc tem zachęcić młodych do pośpiechu. Tak mu pilno było opuścić cmentarz. Dopiero koło mostu zwolnił nieco kroku i obejrzał się ukradkiem po za siebie w górę. Zdawało mu się, że z po za wału wysterczały dwie głowy ludzkie. Bardzo jednak łatwo być mogło, że mu się tylko tak zdawało, że to były tylko wierzchołki drzew. Nie śmiał uważniej przypatrywać się, by nie zwrócić także uwagi syna, który o kilka kroków postępował w tyle, prowadząc Amelkę.

Młodzi zajęci byli rozmową. Właściwie on coś mówił, opowiadał, a ona słuchała go z uwagą i wciąż ku jego twarzy miała podniesione oczy, słuchała go i oczami i duszą całą. On to czuł, jak jest słuchany, i to dodawało mu zapału, wymowy. Przedmiot opowiadania nie był nawet ani tak ważny, ani tak zajmujący; opowiadał jej jakiś epizod ze swojego pobytu w Wiedniu; a jednak słuchała go z zajęciem dla tego tylko, że to on opowiadał, a być może, iż i on z takiem życiem opowiadał, że go ona słuchała. I tak się rozgadał, a ona tak zasłuchała, że nie uważali wcale, iż aptekarz spotkał się ze starymi Leszczycami i zawrócił się z nimi ku miastu. Dopiero go spostrzegli, kiedy zagadał do Jana:

— Masz tam pan list na poczcie. Gdybym był wiedział, że się spotkam z wami, byłbym go zabrał.

Odezwanie się aptekarza zrobiło na Janie takie wrażenie, jakby mu kto zimną wodą bryznął na rozgrzaną twarz. Wzdrygnął się nerwowo. Nigdy jeszcze głos aptekarza nie wydawał mu się tak nieprzyjemny, a wzrok tak cyniczny. Gniewało go, że wzrokiem tym przeszywał badawczo Amelkę, i zdawało mu się, że jej tem ubliżał. Wysunął się umyślnie nieco naprzód, aby ją zasłonić przed jego niedelikatną ciekawością i nie kontent był, że zbliżał się do nich.

Może i Amelka coś podobnego czuła lub może uważała za niewłaściwe pozostawać dłużej przy Janie w obec trzeciej osoby nieznajomej; dla tego wysunęła rękę z pod jego ramienia i pod pozorem zapytania się o coś pani Leszczycowej pobiegła ku niej.

Aptekarz zbliżył się do Jana z żartobliwym uśmiechem i odezwał się niepełnym głosem, aby go przodem idący nie słyszeli:

— Teraz rozumiem, dla czegoś się pan u mnie tyle czasów nie pokazał.

— Matka była chora — wybąknął Jan na swoje usprawiedliwienie.

— Tak; ale matka już od dwóch tygodni zdrowa.

— Miałem zajęcie.

— A widzę to, i dla tego nie dziwię się.

— Co pan przez to chcesz powiedzieć?

— To samo, co pan myślisz.

— Ja nic nie myślę.

— To pan czujesz. To częstokroć więcej warte od myślenia.

— Nie rozumiem pana.

— Czy pan chcesz, żebym palcem pokazał.

— Kogo?

— No, tę młodą dziewczynę. E, nie udawaj pan, bo przecież to nie sekret. Całe miasto już o tem gada.

Janowi krew uderzyła do głowy z oburzenia.

— Kto to śmiał powiedzieć?

— Ja dowiedziałem się ze źródła wiadomości dobrego i złego. Od mojej nieocenionej panny Zenobii.

— I uwierzyłeś pan bajce.

— Nie, nie uwierzyłem. Ale teraz oczom moim wierzyć muszę.

— Więc pan przypuszczasz...

— Mój panie — przerwał mu niecierpliwie aptekarz — to przecież nie potrzeba bawić się w żadne przypuszczenia, bo to widne jak na dłoni...

— Że ja się kocham? — spytał Jan drwiąco.

Aptekarz podniósł na niego badawcze spojrzenie.

— Za pana bym nie przysięgał, ale że ta dziewczyna zakochana w panu po uszy, to na to daję moją głowę. Dość spojrzeć na nią.

Jan zmarszczył brwi i chciał coś ostro odpowiedzieć aptekarzowi, ale właśnie zrównali się z rodzicami, którzy przystanęli, aby się spytać Jana, czy chce iść ku poczcie.

— Ty odbierzesz list, a my się przejdziemy przy tej sposobności.

— A ja przy tej sposobności pożegnam państwa — odezwał się aptekarz.

— A czemuż pan nie z nami? — spytał Leszczyc.

— Widziałem już raz dzisiaj łysinę poczmistrza i nie mam wcale ochoty oglądać jej po raz drugi. Dla was to państwo zabawka; a mnie idzie o wstyd. Łysina poczmistrza to Waterloo moje, bo na tem polu inwencya moja kosmetykowa doznała klęski. Więc nie chcę rozdzierać sobie serca i pójdę w całkiem przeciwną stronę.

Pożegnał się ze starymi Leszczycami, Amelce się poważnie ukłonił, a żegnając się z Janem szepnął mu:

— Ja się cieszę z tego, bo mam nadzieję, że z tej miłości miasto zyska mydlarnię porządną.

To powiedziawszy, nie czekając, co mu Jan odpowie, oddalił się szybko.

Jan spojrzał za nim niezadowolniony i rozgniewany trochę. Oburzała go ta bezczelna poufałość, z jaką aptekarz pozwolił sobie zaglądać w jego życie. Szpiegowanie, rewizya, są to zawsze czynności, które oburzają uczucie człowieka, obrażają jego prawa i ścieśniają wolność, szczególniej wtedy, gdy człowiek czuje się niewinnym. A Jan w obec własnego sumienia czuł się całkiem niewinny zarzucanej mu zbrodni czy winy i dla tego oburzało go, że ciekawy aptekarz domyślał się tego, czego nie było.

Może nawet dla tego, aby nikomu nie dawać powodu do podobnych przypuszczeń, idąc przez miasto, nie zbliżał się wcale do Amelki, jeno szedł po stronie ojca. Dopiero

koło poczty złożyło się tak, że znowu byli razem, przy sobie; ale na krótko, bo zostawiwszy ich przed gankiem, sam poszedł po list.

— Zkądże list? — spytał go ojciec, gdy wyszedł z kancelaryi, niosąc list dość dużych rozmiarów.

— Z Wiednia.

— Może ci proponują jaką posadę.

— Nie wiem.

— No i nie ciekawyś? — spytała matka zdziwiona tą obojętnością syna.

Była to jednak sztuczna obojętność. Jan skoro tylko rzucił okiem na list, poznał pismo Leona, w dotknięciu poczuł, że były w nim fotografie i dla tego tak nie spieszył się z otwieraniem. Wydawało mu się jakoś niewłaściwie czytać ten list w obec matki i Amelii, nie śmiał wydobywać fotografii, bał się zapytań, bał się, że będą ciekawe zobaczyć. Wstydził się zdradzić przed niemi swoje tajemnice; dziwił się jednak, że odebranie listu, na który tak długo czekał, który miał może rozstrzygnąć los jego, nie wywołało w tej chwili w nim żadnego innego uczucia prócz zakłopotania, i więcej myślał, co sobie o jego tajemniczej korespondencyi pomyśli matka lub Amelka, niż co w sobie zawierała. Może do tego przyczyniło się głównie to, że mu tak długo na odpowiedź czekać kazano. Uczucie jego, które w pierwszych chwilach napięte było jak struna na najwyższe tony, miało czas przetrawić się, przejść cały proces fermentacyjny i ułożyć się do spokoju a nawet do obojętności. Milczenie Leona tłumaczył sobie tem, że nie miał do napisania nic pocieszającego i dla tego nie pisał. Z początku cierpiał nad tem bardzo, potem miłość własna zaczęła ze swojej apteczki podawać mu różne uspokajające środki, aż wreszcie z całego tego burzliwego epizodu zostało tylko chłodne wspomnienie, jak lawa po wybuchach wulkanu. Ani przypuszczał może, iż do tej prędkiej rekonwalescencyi jego duszy, a raczej serca, nie mało się także przyczyniło towarzystwo Amelii. Chorzy mają zwyczaj przypisywać uzdrowienie sobie samym, swoim żywotnym siłom, a nie lekarstwom. To też i Jan nie przyznałby pewnie tego, gdyby ktoś chciał go o tem przekonywać. Ale na szczęście nikt w tej chwili nie starał się o to. Nie mógł nawet uskarżać się na to, że ktoś chce gwałtem wcisnąć się w tajemnice jego serca, bo i matka i Amelka, widząc, że ich obecność w tej chwili nie na rękę Janowi, wzięły się pod ręce i poszły naprzód. Ojciec zatrzymał się koło poczty z jakimś znajomym. Widocznie ułatwiono mu sposobność do swobodnego przeczytania listu. Musiał korzystać z tego i rozdarł kopertę.

Kilka fotografii większego i mniejszego kalibru wysypało się z listu. Podniósł je szybko z ziemi. Wszystkie przedstawiały Julię w najrozmaitszych pozach i ubiorach: to dekoltowaną w lokach z sentymentalnem spojrzeniem, to znowu w jakimś negliżyku koronkowym z rozpuszczonemi włosami, to w kołpaczku futrzanym z ulubioną charciczką Ledą; była nawet na jednej fotografii przedstawiona leżąco z głową przytuloną do poduszki i uśmiechającą się do kogoś.

Ta obfitość fotografii niemiłe zrobiła wrażenie na Janie, widział w tem kaprys bogatej panny i próżność, zbyteczne zamiłowanie się w sobie. Wyobraził sobie ją zaraz stojącą przed lustrem w pracowni fotografa i probującą różnych wyrazów twarzy, spojrzeń, a wszystko dla tego, aby się wydać najpiękniejszą, nawet kosztem wstydliwości dziewiczej, bo niektóre fotografie wydawały mu się dość nieskromne. W Wiedniu możeby to nie było go uderzyło, ale tu, czy że towarzystwo matki i Amelki, które były uosobieniem uczciwej skromności, tak wpłynęły na niego, czy może gust jego stał się tak małomieszczański, że na mody ucywilizowanego świata zaczął patrzeć ze zgorszeniem; dość, że przy niektórych fotografiach wstydził się za Julią. Nie było w tem znowu nic tak zdrożnego, Julia robiła to co inne, kaprysy jej i zachcenia nie wyskakiwały po za przepisy mody i dobrego tonu; ale Jan, który stał już od kilku tygodni za prądem tego życia światowego, patrzał surowem okiem krytyka na te zdrożności małe, które świat toleruje a moda uświęca. Prędko przejrzał fotografie, schował je do bocznej kieszeni surduta a następnie zabrał się do odczytania a raczej przejrzenia pobieżnie listu Leona, bo idąc nie mógł czytać dokładnie, a przytem spieszyło mu się, bo nie chciał tak zostawić samych kobiet na ulicy.

Leon na początku listu tłomaczył mu się najprzód, dla czego mu tak późno odpisuje. Sam Jan dał do tego powód, gdyż przez roztargnienie nie napisał na kopercie dokładnego adresu. Stało tam tylko: *Wien;* reszty szczegółów zapomniał.

„Gdybym był upoważniony przez ciebie — pisał mu — do pokazania twego listu Julii, ta koperta najlepiej by ją mogła przekonać, jak ją kochasz. Tylko zakochani mogą się tak zapominać.“ (C. d. n.)

WSPOMNIENIA STARYCH ŻOŁNIERZY

spisał

EZECHIEL BERZEWICZY.

II.

Bój pod Tyszycą.

(z opowiadania Antoniego Szaszkiewicza).

(Ciąg dalszy.)

Tu nastąpiło pytań tysiące, podziwiań, uniesień i modłów, a wszystko było zajęte splataniem wieńca laurowego dla naszego dowódzcy; moje zaś sakwy przy koniu w momencie zostały napełnione przysmakami, com spostrzegł dopiero przy odjeździe. — Konwersacya z damami była nader zajmującą, otwartą i żartobliwą, tak, że z bolem serca je opuszczałem, gdy mnie do innego salonu zaproszono. — Zastałem tam oprócz Różyckiego z generałem i owego pana, który przed wieczorem był w obozie i obeznał Różyckiego z miejscowością. Na stole leżały dwa arkusze papieru nakreślone ołówkiem i przedstawiały wsie, pola, lasy i mosty, a punkta w rzędach, oznaczały wojska.

— Przypatrz się bracie! — rzekł do mnie Różycki, to nasze następne zadanie! — Ten pan, (którego nazwiska nie pamiętam), dawał jako miejscowy, na wszystkie szczegóły jak najdokładniejszą informacyą. — Pokazywał na tych rysunkach położenie obozu siewerskiego pułku w Uchaniu, groblę na trzęsawiskach którą przechodzić mamy, kierunek placówek i wedet ku Uchaniom zwróconych i chatę gajowego, gdzie będzie czekał przewodnik najlepiej z wszelkiemi drogami obznajomiony. Dalej rysunek okazywał Grabowiec, gdzie stał pułk kozaków uralskich, a dalej jeszcze wskazywał położenie dywizyi huzarów.

Po przejrzeniu tych planów wszczęto dysputę. Generał Suchodolski utrzymywał, że przebicie się przez znaczne siły moskiewskie jest bardzo trudne, a jeżeli się to uda oddziałowi, choćby ze znaczną stratą ludzi, to z furgonami, właściwie z całym obozem będzie źle; byłby to prawie cud, żebyś to uratował, dodał.

— Jeżeli tak jest, odparł na to Różycki, że patrole i nocne podjazdy chodzą tylko ku Zamościowi, bojąc się z tamtej strony wycieczki, to na nich wpadnę jak piorun, dragonów za pomocą Boga pobiję, a z kozakami łatwa przeprawa! — Byłem się za Uchanie dostał, to już odemnie zależyć będzie przyjąć bitwę lub nie; zresztą Krysiński, generał fortecy, powinienby mi wysłać jakiś oddział na odsiecz!... — Suchodolski na to wstał z krzesła i zawołał:

— Panie Karolu! Daj to Boże, żeby tak było! Odradzać ci nie powinienem, jednakowo przestrzedz cię muszę, abyś przynajmniej na odsiecz Krysińskiego się nie spuszczał.

Po takiej pogadance Różycki powstał, aby się pożegnać, bo spieszno mu było wracać. — Tu dopiero wszczął się płacz, pożegnania, jakby po raz ostatni. Różycki wieńca nie przyjął, mówiąc, że się o niego dopiero z Zamościa upomni. Wyszliśmy do koni, a w bramie ogrodowej czekał już na nas przewodnik, jak grób milczący. Człowiek ten posunął się naprzód, my za nim i tak opuściliśmy wieś generała, Dorohusk zwaną.

Różycki był wesół w drodze i mówił mi, że generał był tęgim żołnierzem w roku 1812, ale zbabiał dziś widocznie. Pozajutro o tej porze przygotujemy mu siurpryzę. W godzinę po bitwie będzie wiedział o wszystkiem, bo pola jego sięgają prawie samego obozu moskiewskiego. — Dnieć już zaczynało, kiedy nasza wideta nas zatrzymała. Przewodnik zniknął, a my dwie doby odpoczywaliśmy cichutko.

Różycki przekonał się, że wojska moskiewskie istotnie mają zwróconą uwagę ku Zamościowi i oczekują wycieczki z twierdzy, a o nadejściu naszem wcale nie myślą; bo zawiadomieni przez żydów, że poszliśmy ku Uścilugowi, nie wpadli na myśl, że my tymczasem pod ich bokiem cichutko obozujemy. I tu użył Różycki takiego samego fortelu, jak w okolicach Łucka; dał bowiem pieniądze na zakupno prowiantów dla wojska, rozkazał by wszystko było gotowe na traktach ku Uścilugowi, bo był pewny, że i drugi raz fortel go nie omyli.

Jakoż w istocie, łapserdaki zabrali pieniądze i przyrzekłszy wszystko najakuratniej w sekrecie załatwić, dali zaraz znać o wszystkiem Moskalom, a tak zdradzona tajemnica przez żydów szerzyła fałszywą wiadomość — co do ziszczenia się planów Różyckiemu wielce dopomogło. Nie dziw więc, że generał Suchodolski, nie znając tych przebiegłych manewrów partyzanckich, jakie naszemu Różyckiemu były właściwe, nie wierzył, a nawet był przekonanym o niemożności udania się napadu pod Uchaniami, bo mówił:

— Jeżeliś się panie Karolu urodził pod szczęśliwą gwiazdą, to przebijesz się do Zamościa, ale żal mi twojej dziarskiej młodzieży, bo niewiele ich tam przyprowadzisz!

Po tym krótkim ustępie, wróćmy do obozu, gdzie się odbywają przygotowania do nocnej wyprawy. Nakazano poobwijać pochwy od pałaszy,

*

wzbroniono palić lulki i krzesać ognia i o ile możności nie dopuszczać rżenia koni.

Różycki informował dowódzców szwadronów na rozłożonym arkuszu papieru, w Dorohusku narysowanym, a po ukończeniu z nimi narady przygotował mię do bardzo ważnej ekspedycyi, to jest do zdjęcia w cichości widet wysuniętych od Uchań; dał mi przytem instrukcyą, którędy mam iść, aby ich od strony obozu najechać i niedopuścić ich do zaalarmowania obozu moskiewskiego. Po pa rogodzinnym marszu w lesie, odłączyłem się i poszedłem na tę wyprawę.

Miałem sześciu zwinnych szeregowców i podoficera w komendzie, dobrze przezemnie wprzódy poinformowanych, a z którymi w cichości wyruszyłem, poprzedzając szwadrony nasze.

W drodze dopędził nas Marcin Wyleżyński, bo i tu mi wlazł niespodzianie! Znając jego awanturnicze usposobienie, błagałem go, żeby się przynajmniej cicho zachowywał.

Promień drogi, który prowadził oddział Różyckiego do obozu moskiewskiego, był o połowę prawie krótszy od mojego promienia, bo musiałem chyłkiem skręcać, aby widety od strony obozu zajechać; pospieszyłem więc, ile można, po omacku prawie, bo gęste chmury zaciągnęły cały firmament. Wytrzeszczam oczy i nic nie widzę! Zacząłem więc modlić się w duszy o powodzenie tej wyprawy, bo wiedziałem, że na niej wszystko zawisło! Truchlałem prawdziwie, bo lada strzał mógłby zniweczyć nasze plany! Przyszły mi na myśl owe niewiele dobrego rokujące przepowiednie generała Suchodolskiego, co mię jeszcze więcej niepokoiło! — Przechodziłem w pamięci całą instrukcyą daną mi przez Różyckiego, i nic sobie nie miałem do wyrzucenia, gdyż ściśle wykonaną była! a przecież tak długo maszerując, nikogo nie spotkałem.

Wyleżyński podług danego mi słowa, jedzie za moją komendą, która trójkami za mną postępowała. Jedziemy dalej, coś ciemnieje się; wydają mi się krzaki!... ale podoficer Bojkowski przybliża się i mówi półgłosem: „To placówka! z pewnością placówka! bo widziałem ogień z fajki!“ a mnie się to jak drzewa wysokości budynków przedstawiało, pomimo, że się dobrze w ten przedmiot wpatrywałem.

Placówka pod Uchaniem? a gdzież widety? pomyślałem. I w samej rzeczy była to placówka! bo podjechawszy trochę bliżej dojrzeliśmy, że się ich konie poruszają to w tę to w owę stronę. — Prawdopodobnie i oni nas zobaczyli, ale że od strony ich obozu nadjechaliśmy, mieli nas za swój patrol i dla okazania, że czuwają poruszyli się! — Nie było się już co namyślać, podjeżdżam śmiało!

W tem oficer wysuwa się z tej placówki i pyta: „*Kto idiot?*

— *Swoj!* — odpowiadam.

— *Czto za swoj?*

— Patrol diewiatoj dywizyi, Bugskawo ułanskawo pałka! — odpowiadam po moskiewsku nie zatrzymując się.

Przyszła mi myśl rozpaczliwa, uderzyć, póki się nie opatrzą, bo niechybny alarm uprzedzi Różyckiego. W tem Wyleżyński, jak krzyknie tubalnym swym głosem: „A kolże bestyę!“ — tak ja wówczas będąc blisko oficera, który trzymał pistolet na mnie wymierzony, jednym szusem konia przyskakuję do niego i płatam go szablą po ręce, aż mu pistolet wypadł na ziemię; byłby drugie cięcie po kaszkiecie dostał, ale raptem zwrócił konia i zaczął uciekać, a za nim placówka; szczęściem, że nie ku obozowi. My rwiemy z kopyta za nimi i po drodze zrzucamy ich z siodła jak słomianych bałwanów... Podczas tej gonitwy, słyszymy strzały, a po rosie rozlega się nasze hasło bojowe: „Sława Bohu!“ To Różycki uderzał już na dragonów!

Duch we mnie wstąpił, atak niewątpliwie się powiódł, bo obóz nie był zaalarmowany; a my zostawiwszy czterech czy pięciu Moskali z całej placówki, która z 25 żołnierzy się składała, popędziliśmy co koń wyskoczy w stronę strzałów rozlegających się w obozie.

Żołnierze z mojej podjazdowej komendy, pospieszyli do swoich plutonów, a ja udałem się do dowódzcy.

Chaos, jak zwykle po bitwie; a kto sam nie widział, nie może go sobie wyobrazić, zwłaszcza po nocnym napadzie. Na Różyckim nie sprawiło to żadnego wrażenia, był w swoim żywiole; wszędzie przytomny, na wszystko miał zwróconą baczność i uwagę, więc i tu już ład zaprowadził. Na placu, przed barakami stali jeńcy otoczeni strażą, a pułkownik od dragonów Bohdanow ranny w nogę dostał się do niewoli.

Różycki spostrzegłszy mnie, powiedział:

— Dziękuję ci bracie! teraz nie ruszaj się z miejsca i uważaj na broń porozrzucaną, bo ją zabrać musimy.

Po jednej stronie tego obozu stały opodal długie wozy mazurskie sianem naładowane i stanowiły ścianę obozową, niby barykadę. — Za tą ścianą skryła się jakaś część niedobitków i strzelała do nas, tak, że kule dosyć gęsto koło uszów nam świstały. Tu właśnie moja faworytalna klacz straciła ucho od postrzału, a ja równocześnie zostałem ranny, lecz w jak szczególny sposób to opiszę na ostatku, aby nie przerywać toku bitwy.

Niezupełny był to jeszcze tryumf dla Różyckiego, chociaż dwa szwadrony dragonów zupełnie zniesione zostały. Wiedzieliśmy bowiem, że pułk kozaków stoi za Grabowcem, a strzały i wrzawa bitwy musiała ich zaalarmować. Tylko niezmordowanej przezorności Różyckiego i nadzwyczajnej przytomności w podchwyceniu korzystnej chwili, przypisać trzeba, że i tę zaporę stanowczo usunięto.

Ów pułk kozaków idąc na nas, musiał przez Grabowiec maszerować. Różycki szczęśliwy podchwytuje moment, prowadzi ze sobą tylko sześciu tęgich chłopców z nabitymi pistoletami, pędzi galopem do Grabowca i staje cicho w poprzek ulicy.

Nie długo czekał z garstką walecznych. Po chwili uderza go o uszy donośna, po moskiewsku wygłoszona komenda:

— *Czetwiertoj uralskij połk, na pierod!*

A zaraz za nią jakby echo, nastąpiła polska komenda Różyckiego.

— Pierwszy pułk ułański naprzód! Marsz! Marsz!

Jednocześnie przy wystrzałach z pistoletów, uderza ze swoimi z taką natarczywością na cały pułk kozaków, że ci przerażeni, pierzchli w największym nieładzie. Nie odważyli się więcej kozacy zbliżać w tę stronę, a być może, że nasz okrzyk: „Sława Bohu!“ gromko okrzyknięty, przyczynił się niemało do rozsiania trwogi.

W kwadrans może maszerowaliśmy ku Zamościowi. Pułkownik Bohdanow jechał na bryczce; jeńców prowadziło 40 naszych z dubeltówkami, pod dowództwem oficera Jasińskiego, weterana z r. 1812. — Zdobyte konie maści kasztanowatej pędzono tabunem; a było ich tyle, że jazda nasza siedziała później na tych kasztanach aż do samego końca wojny.

W dwóch tedy niespełna godzinach, dwa szwadrony dragonów zniesione, pułk uralskich kozaków tak odparty, że w panicznym strachu poszedł w rozsypkę, a my w największym porządku maszerujemy do Zamościa! Wszystko to było dziełem jednego człowieka, Karola Różyckiego, który swą garstkę, ćwiczoną w marszach, na dzielnych kawalerzystów przysposobił, a przez subordynacyą prawie niezwyciężonymi zrobił! Niezaprzeczoną też jest prawdą, że zacny ten mąż niezwykłymi przymiotami był obdarzony od Boga.

Ale wracam do naszego marszu.

Przechodzimy w porządku, ze zdobytemi trofeami przez Uchanie, a dalej jeszcze przez pobliską wieś Grabowiec iść nam wypadało. Ale kozacy, dowiedziawszy się o tem, skryli się za wsią nad wąwozem, który przechodzić mieliśmy i przyjęli nas rzęsistym ogniem. Kule z janczarek gęsto świstały, lecz mało na szczęście szkody nam wyrządzały. Jeden nasz szwadron został natychmiast odkomenderowany i wyleciał galopem na górę, rozbiegł się na flanki przeciw rozsypanym kozakom, którzy jeszcze kusili się o jakieś obrywki i oberwali też, bo przetrzepaliśmy im tęgo skórę! Nie mało ich z koni spadło, reszta uciekła! Pokazała się jeszcze i dywizya huzarów czerwonych, ale bez żadnego zamiaru zaatakowania minęła nas z całym respektem. Spokojnie przeto oddaliliśmy się od Grabowca, dążąc ku Zamościowi.

Dzień jasny i pogodny odpowiadał pogodzie i weselu dusz naszych; wewnętrzne zadowolenie i tryumf malowały się w oczach każdego, bo też radość żołnierza po odniesionem zwycięstwie tylko ten wyobrazić sobie zdolny, kto jej sam na sobie doświadczył. Jeszcze hasło nasze bojowe: „Sława Bohu“ brzmiało w uszach każdego, jakby echo muzyki po opuszczonym koncercie, z tą jednak różnicą, że obecnie hasło to, zamiast śmierć i zagładę, wyrażało cześć i dziękczynienie Bogu.

Gdy tak szczęśliwie maszerowaliśmy, ukazał się nam znaczny oddział wojska na przeciw nas idącego. Na przedzie szła kawalerya, za nią postępowała piechota. — Różycki domyślił się ich znaków, bo spodziewał się, że wojsko z twierdzy będzie nam w pomoc posłane, a i wiara nasza odgadła, bo prawie jednogłośnie wykrzyknęła:

— Nasi idą!

Radość zagrała nam na licach, a myśl: „Czemuż nas w boju nie widzieli?“ przemkła nam z dumą po licach; bo myśl bowiem, czemu nam wcześniej w pomoc nie przyszli, z pewnością w żadnym nie powstała!

Mimowolnie przyspieszyliśmy kroku, tak, że było już dobrze widać pułk kawaleryi, pułk piechoty a między tem armaty.

Różycki kazał prowadzić szwadrony małym stępem, a sam wypuścił konia i salutując generała, który był na czele, raportował temi słowy:

— Oddaję pod rozkazy pana generała oddział walecznych, który mi nad sobą dowództwo powierzył. (Dok. nast.)

PAŃSTWO I JEGO GRANICE

STUDYUM PRAWNO-PAŃSTWOWE

przez

EDWARDA LABOULAYE.

Tłómaczył

JÓZEF SCHIFF.

(Ciąg dalszy).

Lecz powiadają politycy, dla czego państwo nie miałoby kierować tym rozwojem, ono, co roz-

porządza oświatą i wszystkimi środkami społecznymi? Dla czego? Oto dla tego, że nie wie ono, i nie może wiedzieć gdzie padnie sok krążący w drzewie. Ludzkość — to nie machina. W machinie znamy rolę każdej części, lecz kto wie co zachodzi w umyśle ludzkim? Państwo żyje z zasobów przeszłości, o przyszłości nic nie wie, wszystko co wrzekomo jego mądrość uczynić jest w stanie, ogranicza się na wstrzymaniu społeczeństwa w kolei już wygotowanej i na skazaniu go na nieruchomość, co dla jestestwa żyjącego równa się śmierci.

Strzeżcie się wzoru z Chin — dodaje Mill — Chińczycy są narodem pełnym talentu, a pod wielu względami i wiedzy, rzadkie szczęście obdarzyło ich w starożytności bardzo dobrymi zwyczajami, dziełem ludzi, którym nie można odmówić nazwy filozofów. Otóż Chińczycy wynaleźli wyborny system w celu wrażenia mądrości i nauki w duszę i umysł każdego obywatelą, zapewnili oni miejsca, zaszczyty i władzę tym, co starożytną tę wiedzę w najwyższym posiadają stopniu. Naród, który to uczynił, bezwątpienia wykrył prawo postępu ludzkiego i powinien stać na czele cywilizacyi, bynajmniej! został on na jednym stopniu od tysięcy lat i jeżeli się kiedykolwiek udoskonali, zawdzięczy to cudzoziemcom. Chińczycy nad wszelkie spodziewanie osiągnęli cel, do jakiego z taką gorliwością dążą filantropowie angielscy — stworzyli naród zupełnie równy; te same prawidła, te same zwyczaje kierują myślą i zachowaniem się każdego Chińczyka. Widzimy skutki takiego systemu. A więc nie mylimy się! Despotyzm mniemania powszechnego, to kamień węgielny rządu, a przynajmniej ustroju chińskiego. Jeżeli osobnikowość nie zrzuci jarzma, Europa, pomimo swej szlachetnej przeszłości i jakkolwiek zowie się chrześciańską, skończy podobnie jak Chiny.“

Widzimy więc, że Mill naznacza społeczeństwu granice, jakie Humboldt zakreśla państwu, i ma słuszność. Bezwątpienia w interesie wszystkich leży, abym był pobożnym, wykształconym, uczciwym, pracowitym, lecz czy interes ten daje memu sąsiadowi prawo przypisywać mi, jak się mam zachowywać i narzucać mi pojęcia? A ja, czy mam prawo zobowiązywać kogo do myślenia i działania na wzór mego? Jeżeli osobnik uczynić tego nie jest mocen, jakże mogłoby to uczynić społeczeństwo, będące tylko zbiorowiskiem osobników, państwo będące tylko organem społeczeństwa? Czyżby suma niezależnych jednostek rozporządzać miała siłą tajemniczą, prawem, którego nie posiada żadna z tych jednostek oddzielnie wzięta. Odczytujcie dzieje. W imię interesów społecznych państwo zagarnęło w swe ręce religią, moralność, przemysł, i dokąd że ono zaszło? Aby uczynić ludzi religijnymi, trzeba było uciekać się do stosów, wygnania, inkwizycyi, a tymczasem osiągnięto niedowiarstwo, zabobon i ciemnotę. Piecza o obyczajach sprowadziła najniemoralniejsze z urządzeń — policyą. Narody oświecone są bezwątpienia te, gdzie rząd powściąga swawolę prasy i sam szafuje prawdą? Zapytajcie o to Austryi i Rosyi! Szukajcie kraju, gdzie pracą narodową opiekują się zakazy i monopole, czy znajdziecie w nim obywateli bogatych i czynnych, czy też przeciwnie lud niedbały i nędzny? Przyczyna tych wiecznych zawodów jest widoczną: nie można gwałcić natury rzeczy. Religia, moralność, prawda, sztuka, nauki, to nie kokardy noszone na kapeluszach z rozkazu wyższego, są to uczucia, idee, chęci, mające swe siedlisko w sercu i w umyśle osobnika. Sama tylko wolność je stwarza, i wolność je też karmi. Zmuszać ludzi wierzyć, czuć, chcieć, jest to zmuszać ich być wolnymi A przecież aż tak daleko doszedł Rousseau w swej *Umowie społecznej*, nie lękając się posądzenia o paradoks i nie widząc w tym niemożebności logicznej, równie jak i materyalnej, oraz niemożebności pogodzenia dwu sprzecznych i wyłączających się pojęć. Są to prawdy widoczne, lecz we Francyi opierają się im trzy wieki nawyknień i przesądów.

Jest jeszcze ostatni punkt, pominięty przez Humboldta, a którego Mill dotknął z przedziwną zręcznością. Nie dość jest oznaczyć dziedzinę państwa i dziedzinę osobnika, między jedną i drugą istnieje terytoryum neutralne, od dawna zajęte przez państwo. Mill chce zeń usunąć administracyą, by więcej zostawić miejsca wolności. Oto zarzuty stawione przezeń interwencyi państwa, zarzuty oryginalne i zasługujące na uwagę.

„Ilekroć pewna rzecz lepiej będzie uskutecznioną przez prywatnych, aniżeli przez państwo, (a to zwykle ma miejsce), zaufajcie przemysłowi prywatnemu — mówi Mill. — Jest to zagadnienie ekonomiczne, sto razy roztrząsane i sto razy przez doświadczenie rozstrzygnięte na niekorzyść administracyi. Zatrzymywać się na niem nie ma potrzeby.

Drugi zarzut bardziej dotyczy naszego przedmiotu. W społeczeństwie jest mnóstwo zadań, które prywatni być może wykonają mniej dobrze niż urzędnicy publiczni, wszelako życzyćby należało, aby i te zadania poruczono prywatnym. Mill za przykład przytacza jury cywilne, zarząd miejski, szpitale, biόra dobroczynności, kasy oszczędności Możnaby do nich przyłączyć pewne gałęzie przemysłu, jako to: ubezpieczenia, banki, wielkie towarzystwa dróg żelaznych lub żeglugi. Nie idzie tu już tylko o wolność, lecz zarazem o wychowanie i o rozwój. Gmina i stowarzyszenie, oto dwie szkoły, w których obywatel winien się wykształcić, i nawyknąć do życia publicznego, oto jest zajęcie, wydźwigające go z samolubstwa lub z ciasnego kółka rodzinnego. Tutaj to uczy się on działać z pobudek korzyści ogólnych, tu uczy się on działać na pożytek dla ogólnego dobra, tu znajduje on i czuje ojczyznę. Usuńcie te nawyknienia, a wolna konstytucya rozwijać się a nawet istnieć przestanie. Doświadczyliśmy tego we Francyi. Gdy całe życie polityczne zogniskowane jest na trybunie, kraj cały dzieli się na dwie połowy: na opozycyę i rząd. Opozycya ta wzmocniona przez wszelkie niezadowolenia prywatne, żądze wyniesienia się i wszelkie urazy zaściankowe, wywołuje ślepy opór ze strony rządu, prędzej lub później bezsilny. Rozdzielić strumień na tysiąc kanałów rozprowadzających żyzne soki we wszystkich kierunkach, oto jedyny sposób zapobieżenia, aby w pewnym dniu wezbrane fale nie uniosły i nie spustoszyły wszystkiego.

Ostatni i niemniej silny powód do zmniejszenia interwencyi państwa polega na tem, że szkodliwem jest bez potrzeby rozszerzać władzę administracyi. Każda nowa czynność przysądzona rządowi powiększa jego wpływ i wywołuje ambicyę i chciwość. „Jeżeliby — mówi Mill — drogi, koleje, banki, ubezpieczenia, wielkie towarzystwa akcyjne, uniwersytety, szpitale stały się gałęziami rządowemi; jeżeliby oprócz tego, korporacye miejskie i zależne od nich biόra stały się również organami administracyi centralnej, jeżeliby urzędnicy wszystkich tych urządzeń byli mianowani i płatni przez państwa, jeżeliby tylko od państwa należało im wyczekiwać posunięcia i karyery, i w takim razie ani wolność prasy, ani konstytucya ludowa naszego prawodawstwa nie uchroniłyby Anglii od *nominalnej* tylko wolności.

„Im mądrzej byłaby pomyślana machina administracyjna, tem więcejześrodkowanoby w niej energii i inteligencyi, i złe byłoby tem większe.

„Jeśliby było możebnem wszystkie talenta kraju powołać do służby rządowej, jeśliby wszystkie sprawy, które w społeczeństwie wymagają pomocy uorganizowanej, poglądów szerokich i jasnych, znajdowały się w rękach państwa; jeśliby urzędy publiczne były sprawowane przez ludzi najzręczniejszych; wówczas cała inteligencya i wszystkie wyrobione zdolności kraju, z wyjątkiem czysto spekulacyjnych umysłów,ześrodkowałyby się w licznej biurokracyi, ku której kraj cały zwracałby bezustannie swe oczy, zwłaszcza pospólstwo w celu odbierania od niej rozkazów, ludzie zaś zdolni lub chciwi dla otrzymania posunięcia osobistego. Jedyną ambicyą byłoby natenczas wejść do zarządu i wszedłszy posunąć się wyżej. Przy podobnym porządku rzeczy nie tylko że ogół, dla braku praktycznego doświadczenia, niezdolnym jest poddać krytyce lub utrzymać w karbach wybryki biurokracyi, lecz nawet gdyby okoliczności postawiły u steru władzy naczelnika skłonnego do ulepszeń, żadna reforma nie dałaby się wprowadzić w życie, w razie gdyby była sprzeczna z widokami biurokracyi. W podobnie smutnych warunkach znajduje się cesarstwo rosyjskie, cesarz może wysłać na Syberyę kogo zechce, lecz nie może rządzić bez biurokracyi, ani przeciw jej woli. Na każdy dekret cesarski kładzie ona *veto* domyślne, nie wykonywając go zupełnie. W krajach wyżej stojących i mniej cierpliwych, gdzie ogół przywykłby we wszystkiem liczyć na pomoc państwa, lub co najmniej przywykł niczego nie czynić bez pozwolenia i kierownictwa państwa, rząd naturalnie uważają za odpowiedzialny za wszelkie ucierpiane zło. Wreszcie gdy nawał złego przekracza granice cierpliwości, naród powstaje i robi tak zwaną rewolucyą; poczem inna osoba zasiada na tronie królewskim, posyła rozkazy do biur i wszystko idzie po dawnemu, gdyż biurokracya nie zmieniła się i nikt zastąpić jej nie jest w stanie.

(C. d. n.)

PRZESZŁO
SIEDM STÓP WYSOKOŚCI.

Obrazek z życia londyńskiego,

z angielskiego przełożył

KALIKST WOLSKI.

(Dokończenie).

Pałac lorda Henryka należy do najwspanialszych w Londynie i urządzony prawdziwie po pańsku. Czy państwo są w mieście lub nie, wszystko jest w porządku i liczna służba czeka na ich zawołanie lub przybycie z dalekiej drogi.

Lord Henryk miał nazajutrz z żoną jechać do Irlandyi, obiad z tej przyczyny przeciągnął się dłużej aniżeli zwykle, lecz lady Henryeta nie dosiedziała do końca i zaraz po deserze (wetach), według zwyczaju angielskiego, wstała od stołu, pozostawiając męża i doktora przy butelkach *porto*

i *xeresu*, z doskonałemi hawańskiemi cygarami w ustach, a sama poszła do salonu.

Dwaj biesiadnicy, odprawili służących i zwyczajem angielskim zaczęli popijać, to jest: lord Henryk nalał sobie kieliszek wina, a potem szybkim choć mierzonym ruchem, nie patrząc nawet na doktora, stawiał butelkę koło jego kieliszka. Doktor sobie nalewał. A kiedy oba wypili, to doktor znowu zaczynał, naprzód sobie nalewał, a potem, tak samo metodycznie stawiał butelkę przy kieliszku lorda.

Lady Henryeta nie zatrzymała się ani chwili w salonie, podniosła portyerę jedwabną i przeszła do przyległej oranżeryi, prawdziwego raju ziemskiego, pełnego wonnych kwiatów i krzewów zwrotnikowych.

Położyła się na hamaku z kory palmowej i oddała się marzeniom zwykłym kobiecie, pewnej, że jest kochaną przez przedmiot swej miłości.

Było to, jak już o tem wyżej kilka razy wspomniano, w pierwszy dzień Bożego Narodzenia, ciemno więc było na dworze; ale oranżeryę oświecała lampa, okryta globem ze szkła matowego, a że była umieszczoną pomiędzy liśćmi krzewu suto obrzuconego różowym kwiatem, słabe zatem tylko rzucała światło w uroczych odcieniach, zielonym i różowym. Cichość zupełna dodawała jeszcze uroku temu przybytkowi szczęścia i rozkoszy.

Z oranżeryi schody, z białego jak mleko marmuru, prowadziły prosto do ogrodu otoczonego wysokim murem, bo wzdłuż tego muru ciągnęła się wązka uliczka, zamieszkana przez żebraków, złodziei, oszustów i wszelkiego rodzaju nędzarzy. Tak jest cały Londyn zbudowany: za szerokiemi, pięknemi ulicami, gdzie stoją pałace najarystokratyczniejszych rodzin, jeden wspanialszy od drugiego, ciągną się uliczki ciasne i brudne, a w nich gnieździ się najokropniejsza nędza i występki.

Jozue wiedział, że doktor był na obiedzie u lorda Henryka, przyszedł więc do pałacu powiedzieć mu, iż olbrzym mu gdzieś przepadł. Ale podszedłszy już do samej bramy, zawahał się i nie śmiał zadzwonić, bo strach go ogarniał na samą myśl pierwszych zapędów gwałtownego gniewu doktora. Biedny Jozue, przeklinając olbrzyma i los swój nieszczęśliwy, zaczął się przechadzać około pałacu, a czasem i zaglądał w ciasną uliczkę.

Jak długo lord Henryk i doktor biesiadowali przesuwając sobie butelki to porto to xeresu, to innych win i likierów? Wiele obrazów ulotnych i uroczych przesunęło się przez głowę nadobnej lady Henryety? Wiele razy nieszczęśliwy Jozue obszedł pałac po błocie? Tego nie można by dokładnie obrachować, dość że po pewnym czasie krzyk przeraźliwy lady Henryety przerwał milczenie w pałacu, mąż jej i doktor zerwali się od stołu i wbiegli do oranżeryi. Lady Henryeta stała, blada, drżąca ze strachu, z oczami wlepionemi i z ręką wyciągniętą ku drzwiom szklannym prowadzącym do ogrodu.

Lord Henryk wziął ją w pół, ona opuściła mu głowę na piersi, jak dziecię przerażone strachem, mówić prawie nie mogła: dopiero po długiem dopytywaniu męża i doktora powiedziała:

— Jakaś twarz blada a ogromna pokazała mi się przez szyby drzwi ogrodowych i wlepiła we mnie oczy straszne. O Boże! jakie oczy! — i na wspomnienie samo aż własne zakryła ręką.

Lord Henryk zadzwonił; w minutę cała służba była na nogach; pałac i ogród przejrzano do najmniejszego kącika, ale wszystko napróżno, śladu nawet kroków ludzkich nie znaleziono.

— Śniło ci się chyba, kochana żono — rzekł lord Henryk, chcąc ją uspokoić — i senne widziadło zdawało się ci być na jawie...

— O! nie, widziałam, widziałam go wyraźnie tu! — i wskazała na drzwi ogrodowe.

— Czyż ta twarz była tak straszna i okropna?

— Niezupełnie, gdyby była okropna, bardziejby mnie przeraziła. Ale to była twarz ogromna, nieruchoma i oczy napełnione łzami wlepiła we mnie. Póki żyć będę, nie zapomnę tej twarzy! Henryku, jeżeli mnie kochasz, ani na minutę nie odchodź odemnie, na myśl tylko, że zostanę sama, strach mnie przejmuje. O Boże! czy to nie nieszczęście pokazało mi się i płakało nad niebezpieczeństwem grożącem naszemu domowi? Henryku, aby się tylko co tobie nie stało!

— Irlandzka wyobraźnia! — mruknął doktor kiwając głową i wpatrując się w bladą twarz lady Henryety.

Tymczasem Jozue przechodził pod murem lordowskiego pałacu, aż nagle coś tak ciężkiego spadło mu z muru na plecy, że aż dwa razy koziołka przewrócił i runął do rynsztoku; gdyby był nie miał czaszki tak twardej jak skorupa żółwia, byłby pewnie został na miejscu. Po chwili wygramolił się z błota, stanął z trudnością i obejrzał się na wszystkie strony, ale z początku nie mógł nic rozpoznać, potem dopiero spostrzegł z pewną radością w głębi sieni słabo oświeconej zakopciałemi lampkami ogromną postać Edwardka, jak ten schyliwszy się wchodził do brudnego zakładu, gdzie za pół *fena* ($2^1/_2$ cent) dają nocleg włóczęgom i nędzarzom. Westchnął głęboko i rzekł:

— Czyż ja, wierny kościołowi anglikańskiemu, mam zginąć za tego niegodziwego Irlandczyka i katolika?

Ale nadzieja pensyi dożywotniej zwyciężyła wszelkie względy na pochodzenie i religię i Jozue wszedł do izby za olbrzymem.

Edwardek, znający widać miejscowość, poszedł prosto do jednej z ławek ciągnących się wzdłuż izby. Linie wyciągnięte nad niemi w poprzek, w pewnej odległości jedna od drugiej, miały służyć zamiast poduszki do oparcia pleców lub głowy.

Edwardek ułożył się jak mógł do spania, ale nie mógł zasnąć. Znudzony bezsennością i żeby się trochę rozerwać lub sen przyspieszyć, kazał sobie podać jałowcówki. Kiedy mu przyszło płacić za nocleg i wódkę, dobył z kieszeni garść pieniędzy w banknotach, złocie i srebrze. Gospodarz aż krzyknął z podziwienia, widząc tak wielki skarb.

Z czterdziestu obecnych w izbie, wszyscy prawie już spali, jedną rękę przełożywszy przez linę tak, że ta im była pod pachę, drugą zwiniętą w kabłąk kładli na linę i na niej spuszczali głowy. Tak wygodne łoże nie daje zapewne snu twardego. To też na okrzyk gospodarza, dwie głowy podniosły się od razu i wlepiły chciwe oczy w bogatego olbrzyma.

W godzinę po tem wszyscy spali, a przynajmniej tak się zdawało, bo cichość zupełna panowała w izbie, przerywana tylko ciężkiem sapaniem kilku. Edwardek przez ostrożność wziął banknoty i pieniądze w ogromną swą garść, ścisnął pięść i tak zasnął.

Wtem ktoś wyciągnął rękę i zgasił lampę, co migające światło rzucała na śpiących. W ostatnim promieniu gasnącego światła, zabłysło ostrze noża w ręku człowieka, który po cichutku podczołgał się do ławki, gdzie olbrzym leżał.

— Uciekaj kto może! — zawołał głos jakiś.

— W tejże samej chwili zabłysł i huknął wystrzał obok Edwardka, poczem dało się słyszeć przekleństwo wyrzeczone ochrypłym głosem i łomot upadającego człowieka, i znowu cichość i ciemność ogarnęły izbę.

— Policyanci idą! — odezwał się znowu jeden głos.

Wszyscy goście się zerwali i hurmem rzucili się do tylnych drzwi, a izba została prawie pusta. Widać, że wszyscy ci panowie mieli ważne powody, żeby się nie spotkać oko w oko z policyą. Były to przecież tylko próżne strachy; okrzyk: „policyanci idą“ była to dowcipna anegdotka jednego z tych włóczęgów.

Gospodarz zapalił lampę i trzy tylko osoby spostrzegł w całej sali. Edwardek na wpół tylko się rozbudził, tak był wzruszony wypadkami dnia tego. Zawiedziony w nadziejach zbójca z nożem w ręku dogorywał u stóp jego, a Jozue wycierał rewolwer, którym uprzedził wyrok sprawiedliwości ludzkiej.

— Jestem w służbie u Lorda Henryka A*** — rzekł z powagą i przekonaniem o swojem znaczeniu. — Wynieście tego rannego zbójcę na ulicę.

Gospodarzowi zabłysły herby na guzikach liberyi Jozuego herby możnego jego sąsiada lorda A***, nic więc nie mówiąc, wyniósł z sali śmiertelnie rannego zbójcę.

Jozue starannie obejrzał olbrzyma na wszystkie strony, a on nie czuł tego wcale, bo tak mocno zasnął, że chrapał. Ale Jozue przekonał się, że był nienaruszony, a zatem szkielet nie uszkodzony.

— *All right!* (wszystko dobrze) — powiedział sobie z zadowoleniem; potem usiadł przy Edwardku i zasnął snem sprawiedliwego.

Na drugi dzień doktor Jakub odprowadzał do portu lorda Henryka z żoną. Wszystko troje weszli na pokład parowca *Erin* (Irlandya) przez most ruchomy rzucony z bulwaru na statek. Z podniesieniem kotwicy czekano tylko na powrót doktora na wybrzeże. Doktor podawał rękę lady Henryecie na ostatnie pożegnanie, kiedy ona spojrzawszy mu przez ramię, krzyknęła i padła zemdlona.

Doktor obejrzawszy się spostrzegł wysoką bardzo postać, kryjącą się za maszynę parową.

— Byłżeby to on? — zapytał sam siebie.

Lady Henryetę wniesiono do kajuty i trzeźwiono z wielką trudnością.

W tejże chwili Jozue zadyszany biegał i rozglądał się po porcie, jakby szukał kogoś; wypytywał się o coś policyantów i celników, aż nakoniec jeden z nich wskazał mu na parowiec *Erin*, podbiegł więc do doktora ze słowami:

— Panie! on jest tutaj.

Rzeczywiście, znaleziono olbrzyma ukrytego w drugim pomoście. Biedaczysko zaklinał kapitana, żeby go wziął ze sobą, chciał mu płacić za przejazd do Irlandyi, ale doktor oparł się temu.

— Edwardek! — rzekł uroczyście — przysiągłeś na zbawienie duszy twojej, że nie opuścisz Anglii bez mego pozwolenia.

— Prawda — odpowiedział olbrzym — ale jak to panu powiedziałem, mam pewne zamiary, dla których wykonania sprzedałem moj..... (tu znakiem krzyża świętego zastąpił nieszczęsny wyraz); a jeżeli teraz nie pozwolisz mi pan jechać do Irlandyi, to wolę się wyrzec zbawienia duszy, niż mego zamiaru. Zresztą Bóg wie i widzi wszystko. On mnie zrozumi i raczy mi przebaczyć.

— Ale jakież są twoje zamiary? — zapytał doktor.

— Oho! nie powiem, nic z tego nie będzie.

Doktor przedłożył kapitanowi statku ugodę, jaką zrobił z olbrzymem, która temuż wzbraniała wyjeżdżać z Anglii. Olbrzym nie przeczył temu wcale, ale ruszyć się nie chciał z parostatku. Zawołano więc policyantów. Edwardek, tak łagodny zwykle, bronił się całemi siłami. Musiano go związać i wynieść na rękach ze statku.

Erin odbił od brzegu i puścił się na Tamizę. Edwardek jęcząc wzywał Boga na pomoc. Ciężkie westchnienia podniosły mu deskę piersiową, jak właśnie w tej chwili przypływ morza podnosił wodę Tamizy. Nie wiadomo, jaki był powód jego boleści, ale boleść była ogromna.

Rozwiązano go nareszcie. Oparł się na balustradzie i ścigał okiem uchodzący parowiec, a kiedy ten zniknął mu z oczu, zawołał rozpaczliwie:

— Wszystko się dla mnie skończyło! Boże ojcze, zlituj się nademną!

Jednym susem rzucił się w Tamizę.

Na szczęście świadkiem tego gwałtownego czynu był strażnik nieodstępny jego szkieletu, Jozue, który zrzucił natychmiast liberyą, skoczył do wody, a że umiał doskonale pływać, po kilku minutach poszukiwania, wypłynął na wierzch z ciałem olbrzyma, trzymając go za włosy. Kiedy nie bez trudności wyciągnięto Edwardka na wybrzeże, nie miał już przytomności, zdawało się, że nie żyje. Przeniesiono go jednak do najbliższego szpitala, a tam starania i zabiegi lekarzy sprawiły, iż przyszedł do siebie, a gdy po kilkogodzinnem omdleniu otworzył oczy, spostrzegł przed sobą doktora Jakuba, Jozuego i jeszcze jakiegoś trzeciego pana, który uważnie mu się przyglądając, kreślił coś czy notował na wielkim arkuszu papieru. Doktor stanął za tym panem i po chwili powiedział z radością:

— Doskonale!... Wybornie! jakby skora z niego zdjęta. Teraz każdy go pozna z łatwością. Dzięki Ci! tysiączne dzięki, kochany panie Leonie.

Był to nasz znajomy malarz, który zrobił portret olbrzyma. Skoro to spostrzegł Edwardek, zamknął oczy i zakrył całą głowę kołdrą.

Po wyjściu ze szpitala, w kilka dni po tej scenie, z zadziwieniem spostrzegł, że przechodzący z daleko większą uwagą niż dawniej przyglądali się jego olbrzymiemu wzrostowi. W dziwny sposób palcem go sobie pokazywano, a nawet czasami dosłyszał dziwniejszą jeszcze rozmowę:

— To on, to Edwardek....

— Doktor C*** wielką oddaje usługę nauce.

— Jaki to będzie piękny szkielet.

— To też dobrze zapłacony, aż 200 funtów szterlingów.

— Doktor C*** to rzeczywiście szlachetny człowiek. Tyle poświęcać dla nauki. To kupa pieniędzy.

— Inaczej, anatomia porównawcza nie robiłaby postępów.

— Ani zbiór w muzeum nie byłby zupełnym.

— Jaki to piękny będzie szkielet.... jakaby to była szkoda, gdyby jakim przypadkiem miał się zepsuć.

— Bądź spokojny.... Doktor C*** potrafi dać sobie radę... Muzeum nie straci nic na czekaniu.

Widocznie historya Edwardka i doktora Jakuba opisaną była przez dzienniki. Rzeczywiście doktor starał się ją rozgłosić wszelkiemi sposobami, ażeby sama publiczność pomagała mu w dopilnowaniu całości jego nabytku. Wówczas kiedy olbrzym znajdował się w szpitalu, doktor kazał jego portret wylitografować i rozdał go nie tylko konstablom, ale także i komisarzom policyjnym, czuwającym nad podróżnikami odpływającymi z Londynu. Jakoż wydano rozkazy, aby nie przyjmować Edwardka ani na okręta, ani na koleje żelazne.

Olbrzym znudzony ciekawością gawiedzi, zatrzymał się pewnego dnia przed wystawą jakiejś księgarni, rzucił od niechcenia okiem na książki i obrazki, naraz wyprostował się zdumiony, bo własny portret zobaczył; a dzieciaki zaczęły w głos czytać podpis u spodu będący. Była tam mowa o układzie zawartym między Edwardkiem a doktorem muzeum chirurgicznego i wezwanie do wszystkich przyjaciół nauki, mianowicie anatomii porównawczej, aby pomagali czuwać nad całością przyszłego szkieletu i dopilnować ścisłego wykonania kontraktu.

Portret ten w każdym prawie sklepie się znajdował. Niezmordowany doktor po całych dniach biegał po szynkach, sklepach, restauracyach, hotelach, mianowicie takich, do których Edwardek mógł zaglądać i wszędzie rozdawał jego litografię w arkuszowym formacie. Tyleż prawie znalazło się portretów olbrzyma Edwardka, co wielkiego Wellingtona, a któż nie znał popularności tego byłego wodza.

Tym sposobem szkielet biednego olbrzyma oddany został pod straż całej publiczności. Człowiek silniejszego umysłu niż Edwardek zwaryować by mógł od podobnego prześladowania, tembardziej, że na każdym kroku miał przy sobie nieodstępnego Jozuego, a najmniej dwa razy na dzień spotykał doktora Jakóba.

Wystawmy sobie człowieka, uciekającego na rozpędzonym koniu przed wilkami, choć wilki są z tyłu, on pewnie widzi błyszczące ich oczy; albo też człowieka kryjącego się przed marą swej wyobraźni, i uchodzącego przed nią na najwyższą nawet wieżę, a ztamtąd rzucającego się w przepaść; wszystko to nie da nam jeszcze wyobrażenia męki biednego olbrzyma. Nie mógł on pokazać się na ulicy, bo każdy na niego dziwnie spoglądał i coś sobie szemrał. Aby więc uniknąć tej ciekawości, skończył na tem, że spał dzień cały a wychodził tylko w nocy i błąkał się po najciemniejszych ulicach i miejscach. Jozue też za jego przykładem musiał równie stać się stróżem nocnym.

Tak przeszło kilka miesięcy. Aż w połowie wiosny Edwardek gdzieś znikł. Jozue, doktor, cała publiczność, ślad jego całkiem stracili. Łatwo sobie wyobrazić, ile starań, ile pieniędzy doktor łożył, ażeby go wyszukać. Niebo i ziemię poruszył, ale nic nie wskórał.

Rozpacz doktora i Jozuego miała w sobie coś obrzydliwego i śmiesznego zarazem. Doktor jak był sam u siebie, godzinami chodził po pokoju i wyrzucał Edwardkowi, że zerwał umowę, że złamał przysięgę. A kiedy Jozue przyszedł z doniesieniem, że niczego się nie dowiedział, wtedy rozmowa ich była jeszcze ciekawszą.

— Zbrodniarz — mówił Jozue — ukradł mi dożywocie.

— A mnie to nie? — odpowiedział doktor z wściekłością — a co najgorsza, że ten kiep umrze gdzie jeszcze i da się pochować w jakim nieznanym kącie, jak pierwszy lepszy człowiek.

Rozpisywał więc i rozsyłał na wszystkie strony Anglii ogłoszenia po ogłoszeniach, jedne za drugiemi, obietnice sutej nagrody, mianowicie do księży, sług kościelnych, karawaniarzy i grabarzy, jednem słowem do wszystkich, co z trupami mają do czynienia, ale wszystko napróżno, tak że nakoniec zasłabł ze zmartwienia.

Kiedy zaczął przychodzić do zdrowia i z łóżka już wstawał, znalazł u siebie na biórku list od dwóch tygodni oddany. Było to zaproszenie od lordostwa Henryków, aby przyjechał do nich na wieś, do Irlandyi, dla polepszenia zdrowia. Jakoż w trzy dni potem gościł już w ich domu.

Przyroda rozpromieniła się pięknością w tym roku. Wiosna jakby z rogu obfitości wysypała niezliczoną ilość kwiatów na ogród otaczający pałac lordostwa. Ptaszki leśne wyśpiewywały hymny przyrodzie, a słowiki ody do róż, królowych ogrodów.

Oprócz róż, były tam i kwiaty wszelkich innych kolorów, ale żadne nie były tak piękne jak niebieskie oczy lady, rozpromienione wzajemną miłością. Było to nad wieczorem; zakochani małżonkowie siedzieli wraz z doktorem w okrytej zielenią altanie i w milczeniu przypatrywali się wszystko troje zachodzącemu słońcu, po za wierzchołki stuletnich dębów, które pokrywały wzgórza zamykające widnokrąg.

Wtem doktor się zerwał tak nagle, że przewrócił stolik z herbatą i skoczył w ogród jak szalony wołając:

— To on!... To on!... Jozue! Jozue! Jozue!

Jednocześnie dał się słyszeć w bliskiej kępie gęstych krzaków mruk groźny, i skok z łoskotem, jakby dzik jaki przez gąszcz przebijał sobie drogę.

— Co to takiego? ja się boję... — zawołała lady Henryeta tuląc się w objęcia męża.

Doktor a za nim Jozue znikli w krzakach, w których słychać było przed chwilą mruk i łomot gałęzi. Wtedy lord Henryk był mimowolnym świadkiem dziwnej gonitwy. Olbrzymia postać ludzka wybiegła z przeciwnego końca gąszcza krzaków i jednym skokiem przesadziła szeroki kanał opasujący ogród i park lordowski.

Jozue rzucił się do wody i wpław ją przebył. Doktor zaś pobiegł do stajni i zaraz wyskoczył oklep na ulubionym koniu lady Henryety. Nie zabierał sobie czasu siodłaniem, ale oklep puścił się w największym pędzie za olbrzymem. Był to bowiem Edwardek, który jak wiatr leciał przez łąki, pola, rowy i płoty.

— Stój! — krzyczał nieustannie doktor — złamiesz jeszcze sobie rękę, nogę albo żebro..... Stój!.... ja ci nic złego nie zrobię! Stój!... trzymaj!... łapaj!...

Ale olbrzymowi rozpacz sił dodawała, dopadł nareszcie wzgórzy okrytych drzewami, po za któremi słońce w czerwonych mgłach tonęło, samo jeszcze czerwieńsze. Obrócił się twarzą do pałacu. Przeżegnał się, zrobił znak wyciągniętą ręką, jakby się na wieki już żegnał.

Zdawało się, że to pożegnanie rzucone ręką olbrzyma, przeleciało po nad głowami jego prześladowców doktora i Jozuego, i potrafiło dojść do wiadomego tylko Edwardkowi celu.

W tej chwili doktor dobiegł na koniu zaledwie do podnóża wzgórzy, Jozue na piechotę z daleka za nim podążał.

Doktor dwa razy silnie konia piętami po bokach uderzył i galopem wjechał na sam szczyt góry. Olbrzym wówczas puścił się w gąszcz lasu, doktor znikł za nim wydając wciąż dzikie okrzyki.

Nazajutrz w niskim pokoju strażnika leśnego, o pół milki od pałacu lorda, doktor i Jozue siedzieli przy łóżku umierającego olbrzyma, który dostał zapalenia mózgu.

Doktor macał mu puls, a Jozue trzymał na widoku zegarek sekundowy.

— Sto dwadzieścia uderzeń na minutę — rzekł doktor — jeżeli z godzinę jeszcze potrwa ten atak... to dobry interes — dodał po chwili.

Rzeczywiście nie było ratunku dla biednego Edwardka. Środki lekarskie nie mogły mu nic wcale pomódz. W gorączce biedaczysko przejęty był obawą, że doktor odbiera mu życie i o nim tylko mówił; ale nagle, jakby uderzony nową myślą opanowującą rozpaloną głowę i całą jego istność, zwracał się do jakiejś nieznanej istoty, i widocznie żyć jeszcze pragnął.

Doktor przecież był uczciwym człowiekiem i mimo okrucieństwa zwykłego maniakom, rzeczywiście i sumiennie wszelkich dokładał starań, aby uratować Edwardka. Z pewną radością jednak widział, że medycyna nie ma dla niego żadnego środka, że jego dusza musi wyjść z ciała tak łakomego dla niego i tłumaczył sobie, że powodem tego jest konieczność praw przyrody, a nie zbrodnicza jego ręka.

Nagle zbladł; przypomniał sobie bowiem, że biedny jeden Malajczyk wyjawił mu na łożu śmiertelnem tajemnicę, (skład napoju indyjskiego), która niezawodnie ocaliłaby olbrzyma. Zawahał się chwilę i powiedział sobie:

— A gdybym też tu zawołał innego doktora, pewnie już mu pomódz nie potrafi... Tak, pójdę zobaczyć, co się robi z lady Henryetą, trzeba jej będzie pewnie coś przepisać, a tu przyślę miejskiego doktora.

Jednakowoż zanim wstał z krzesła, sumienie się w nim odezwało i potrafił się oprzeć tej piekielnej pokusie manii. Sporządził i dał Edwardkowi napić indyjskiego się napoju.

Olbrzym natychmiast, jakby cudem, wyzdrowiał.

— Teraz — rzekł doktor zasmucony tym prawdziwym cudem indyjskiej sztuki lekarskiej — nic, ale to zupełnie nic nie jedz przez całe dwa dni. Niech cię Bóg broni wziąć cokolwiek do ust. Jozue, dopilnować mi ściśle, żeby niczego nawet nie powąchał.

— Ba! — pomyślał sobie olbrzym. — Natura mnie uleczyła, a on mnie chce głodem zamorzyć. Dobrze, dobrze, zobaczymy.

W nocy, podczas gdy Jozue zasnął, Edwardek zwlókł się po cichu z łóżka, podczołgał do szafy i ściągnął kawał chleba. Nazajutrz gdy doktor przyszedł, olbrzym umierał z gwałtownego zapalenia mózgu, niestrawność sprowadziła recydywę.

Przynajmniej ostatnie pięć minut życia były dla niego chwilą błogiego szczęścia. Nim ducha oddał, widocznie miał jakieś nadziemskie widzenia. Na pół się podniósł, wyciągnął długie chude ręce, wdal wlepił oczy i cichym, ale słodkim głosem wyrzekł:

— Nakoniec widzę cię, kochane dziecko! Nie boisz się mnie więcej!... Jesteś przy mnie!

Po tych słowach upadł i ducha wyzionął. Były to widać ostatnie, a może i jedyne chwile szczęścia tego biednego ojca.

W miesiąc potem doktor Jakób z tryumfem wprowadził do sali muzeum chirurgicznego lorda Henryka i jego małżonkę, chciał im bowiem pokazać urzeczywistnione swe marzenie: *flet bożka Pana* w całym swym komplecie.

Szereg szkieletów, porządkiem, podług wielkości od najmniejszego do największego leżał na stole na środku sali postawionym. Na czele szeregu leżał kościotrup olbrzyma i białością nadzwyczajną błyszczał w przyćmionem londyńskiem słońcu.

— Wiem teraz prawdziwe jego nazwisko, — rzekł doktor do lorda Henryka — znalazłem u niego na szyi kaletkę rzemienną, a w niej akt chrztu jego i jego córeczki, oraz tę oto relikwię.

Tu doktor pokazał białą bawełnianą pończoszkę cztero lub pięcioletniego dziewczęcia.

— Jakże się tedy nazywał? — zapytał lord Henryk i pochylił się, aby przeczytać nazwisko napisane na blasze miedzianej, przybitej z rozkazu doktora u stóp olbrzymiego kościotrupa; ale przeczytawszy, wyprostował się szybko i stanął jak wryty.

Tymczasem lady Henryeta przyglądała się rubinom i szmaragdom złożonym za szkłem w szafie.

— Proszę milady — rzekł doktor, chcąc jej pokazać nazwisko na blasze. Ale lord Henryk ujął go za rękę, ścisnął mocno i powiedział pół głosem:

— Na miłość boską cicho! *To ojciec mojej żony!...*

KONIEC

WRAŻENIA Z PODRÓŻY NA WSCHÓD

przez

J. z T. T-R.

(Ciąg dalszy.)

Brzegi kanału jednostajne nie nastręczają nic godnego zapisania lub wspomnienia. Dopiero do stacyi *Kantara,* gdzie wysiedliśmy na śniadanie, przywiązana jest pamiątka przejścia Matki Boskiej z dziecięciem Jezus podczas ucieczki do Egiptu. Podczas śniadania zmusiłam naszą milczącą Angielkę do rozmowy i dotąd nie mogę sobie zdać sprawy, dlaczego Angielki takie są dzikie i rezerwujące się, a tak miłe przy bliższem poznaniu. Nasza lady mówiła po francusku, lecz jej małżonek na wszystko z flegmą odpowiadał: „Yess" i „beautiful." Wkrótce potem ukazały się jeziora Menzalech przecięte kanałem; mnóstwo kępin, porośniętych szuwarem, urozmaica jednostajną płytę jeziora i służy za odpoczynek niezliczonej masie pelikanów, które gdy ulatują spłoszone, tworzą niby ciemną chmurę pędzoną silnym wiatrem. O 5tej po obiedzie wjechaliśmy do Port-Said wśród lasu masztów okrętowych... Inne życie wre w tem miasteczku, które nie da się nawet w części porównać z ciszą w Suez. Namuł i piasek, wywożony przy kopaniu kanału, uformował podstawę pod całe dzisiejsze miasto; gdzie przed kilku laty na bagnach stada pelikanów swobodnie bujały, dziś 9.000 mieszkańców roi się po ulicach. Piękny teatr, spacery, wiele kawiarń, plac noszący nazwę Lessepsa, sklepów mnóstwo z produktami francuskiemi, zdaje się jakby to była kolonia francuska. Spostrzegłszy w porcie przygotowania do odjazdu statku „Venus," który i nas miał zabrać do Jaffy, poszliśmy do restauracyi pożywić się, i zaopatrzyć się w prowianty na drogę do Jerozolimy, jako to, w parę pudełek sardynek, słoik pysznych konfitur, suche owoce ananasu, i parę świeżych flaszek Bordeaux, z czem udaliśmy się spiesznie na pokład; lecz zamiast o 6tej podjęto kotwicę dopiero o 12tej w nocy, z przyczyny wielkiej ilości towarów, które na statek pakowano.

Patrząc na wspaniały obraz zachodzącego słońca, oświetlenie latarni morskiej, nareszcie całego miasta odbijającego się w zwierciedle spokojnego naówczas morza, zapomnieliśmy o tych kilku godzinach zwłoki i żegnaliśmy rozmarzeni Afrykę, by nazajutrz powitać Azyą.

Całą załogę I. klasy, prócz nas, składało towarzystwo Amerykanów; złotowłose Amerykanki ze spadającemi lokami szczególnie były wesołe i wiele mowne, (ale tylko po angielsku); nadewszystko jedna z nich zadawała sobie wiele pracy, by się z nami rozmówić. Drogi nasze, choć do jednego prowadzące celu, rozmijały się, gdyż one z Jaffy jechały na Nazaret karawaną do Jerozolimy, my zaś wprost obraliśmy najkrótszą drogę, jako pewniejszą, mniej męczącą i mniej też awanturniczą.

Przespaliśmy najspokojniej noc całą; nad ranem nawoływanie ze wszech stron: „Jaffa, Jaffa!" przyspieszyło nasze wyjście na pokład. W oddaleniu ujrzeliśmy lekkie zarysy lądu, a szybko przyjaznym wiatrem pędzona nasza Venus pląsała po srebrzystych falach; coraz też wydatniej ukazywały się szare wzgórza, na których spoczywa najeżona skałami Jaffa, tak, że nawet z bliska trudno odróżnić, czy to miasto, czy też olbrzymia masa powalonych kamieni. Jaffa bowiem tak jest spadzisto zbudowaną, że kamienice liczące pięć do siedmiu piąter od strony morza, z tyłu, przyparte do skały zaledwie na jedno lub dwa są wzniesione. Dziwna, że tutaj podczas największej nawet ciszy wylądowanie jest tak okropne, że z całą uwagą trzeba lawirować u brzegów przepełnionych ukrytemi w morzu skałami, o które nieustannie gniewne i spienione fale roztrącają spienione wody. Przystani żadnej, okręt zarzuca kotwicę w pewnej dowolnej i często zmiennej odległości, drżąc przed uroczem a zarazem zdradzieckiem obliczem Jaffy.

Wśród skał małym przesmykiem przesuwają się łódki, zawdzięczając jedynie sile i przytomności wioślarzy omijanie tej Charybdis, gdyż najmniejsze zboczenie rozbija łódkę bez ratunku. Zazwyczaj na jednę łódź wsiada dziesięciu wioślarzy i śpiewem nabożnym wzywa Stwórcę o pomoc do przebycia tego niebezpiecznego miejsca. Opowiadają o codziennych przytrafiających się tutaj nieszczęśliwych wypadkach; miejscami nawet widzimy kilka okrętów leżących u brzegu; jeden z nich, rozbitek austryacki, przed kilku dniami zapędzony został na mieliznę, tak, że tylko załogę złożoną z kilkudziesięciu ludzi wyratowano, statek zaś, świecił już tylko nagim szkieletem.

Podróżnych, znajdujących się już na lądzie, ogłusza krzyk i hałas, z jakim dotąd nie spotkałam się nigdzie; ze wszystkich stron drą, szarpią i ciągną człowieka, wyrywając mu z rąk rzeczy i bagaże. Mąż mój, chce tłum ten przekrzyczeć nawzajem, a gdy to mu się nie udaje, laską toruje sobie drogę i wzbudza tem ogromne dla siebie poszanowanie, tak, że przewodnicy ustępując nam z drogi, pytali, czyśmy już byli kiedy w Jaffie, że tak odrazu trafiliśmy do ich przekonania? Naturalnie, że potwierdziliśmy to korzystne o nas mniemanie, i kazaliśmy się prowadzić do klasztoru Franciszkanów, o kilkanaście kroków od miejsca wylądowania położonego. Pomimo, że bez względu na wyznanie klasztor każdego przyjmuje, najmilej tu jednak witają katolików, co rzeczą jest zupełnie naturalną. Braciszek *Fra Paulo,* Włoch, wziął nas zaraz pod swą opiekę i wprowadził do saloniku, z którego wejścia wiodły do apartamentów, gdzie zwykle książęta, biskupów i inne dostojne osoby lokowano... Odpocząwszy chwilę, zażądaliśmy koni w dalszą drogę ku Jerozolimie.

Po niedługim targu za 25 fr. przyprowadzono nam dwóch osiodłanych arabów, (dla mnie z damskiem siodłem) i dodano przewodnika na osiołku. Pakunki nasze zostały w klasztorze z wyjątkiem niezbędnej bielizny, plaidów i wiktuałów, któremi obciążono biedne oślątko i tak już dźwigające spory wór z obrokiem. Wolnym krokiem ruszyliśmy przez kręte i błotne zaułki miasta, lecz wkrótce już znaleźliśmy się na udeptanej, równej drodze wijącej się na milę wśród samych gajów pomarańczowych... drzewa gną się pod ciężarem olbrzymich owoców; owych dużych o grubej skórce, słodkich i aromatycznych, słynnych na całą kulę ziemską jaffskich pomarańcz! Ogrody te stanowią własność prywatną i są strzeżone tylko płotem kaktusowym, najeżonym długimi kolcami, które zastępują miejsce najwierniejszego i ciągle czuwającego stróża; nikomu na myśl nie przyjdzie dla dostania owocu walkę z nim rozpoczynać, bo silne kolce, jak sztylety, wbijają się w ciało i ranią boleśnie. Minąwszy owe ogrody, wjeżdża się w urodzajną dolinę Saronu; podróżowaliśmy w lutym, a już stały w pełnym kłosie łany bujnej pszenicy, jęczmienia, durrhy; plantacye na pół zebranej bawełny, przeplatane roskoszną zielenią łąk, pełno tu kwiatów, które śmiało mogłyby służyć do ozdoby królewskich ogrodów, nigdzie jak tutaj nie pociągają oka żywą i płomienną grą kolorów. Za to żyto i kartofle wcale się tu nie rodzą, niemniej jabłka i gruszki sprowadzają tu z Europy; za to, jak u nas chwast, rośnie gęsto na polach rodzaj szerokolistnego tulipanu, którego cebulki do olbrzymich dochodzą rozmiarów i z trudem dają się wypleniać!

Przy zachodzącem słońcu skowronki wzbijały się wysoko w błękit po nad nami i znajomą pieśnią żegnały gasnące promienie... Obdarci pastuszkowie, w pląsach i skokach, poganiali bydło do domu... chwilę powątpiewałam gdzie jestem: tak żywo ów obraz przypomniał mi niejeden schyłek dnia majowego na polach i łanach naszych. Nienawykli do utrudzającego stępa tutejszych koni, narzekaliśmy głośno, choć nasz przewodnik twierdził, że konie są najlepsze, tylko my na nich jeździć nie umiemy... Nie było co odpowiedzieć na tak kategoryczny argument, zsiedliśmy z wierzchowców i pieszo doszliśmy do Ramleh, małej wschodniej mieściny, podobno dawnej Arymatei, zkąd Józef i Nikodem się wywodzą. Ramleh posiada jeden hotel, a raczej oberżę, której właścicielem jest, ma się rozumieć, Niemiec, (tych wszędzie pełno), lecz pielgrzymi więcej się garną do klasztoru, którego gościnność, szczególniej dla biednych, stanowi wielkie dobrodziejstwo. Zamożniejsi turyści pozostawiają tu zwykle wedle swej możności większy lub mniejszy datek, ale są i tacy, którzy pod pozorem pielgrzymki, obszedłszy wszystkie klasztory, da capo zaczynają od pierwszego i z impertynencyą dopominają się o należący się im kilkodniowy bezpłatny pobyt... Zaraz na wstępie byliśmy świadkami zatargu braciszka z pewnym pielgrzymem, z którym się rozmówić nie mógł, a przyjąć go na nocleg nie chciał; doszliśmy, że biedak był Polakiem, czeladnikiem złotniczym, który sprzykrzywszy sobie zawód, lądem z Konstantynopola, dzięki tureckiej gościnności przybył aż tutaj. Murzyn usługujący w klasztorze, tak dla Polaka jak i dla dwóch innych pielgrzymów powracających z Jerozolimy, którym braciszek również odmawiał noclegu, bo nie mogli się wykazać świadectwem odbytej tamże spowiedzi, wyrobił ułaskawienie... Po chwili podano nam wieczerzę składającą się z zupy ryżowej, ryb, omletu, owoców i czarnej kawy; przy pogadance ubiegł czas do 10tej w nocy. Braciszek w obejściu na pozór cichem, skromnem, z ukrytą pod kapturem głową zdradzał przecież przy bliższem zbadaniu umysł ognisty i chciwy, ciągle nasuwał kaptur, jak gdyby pragnął ukryć przed widzem uczucia nim miotające... Ponieważ wypadki polityczne były głównem tłem naszej rozmowy: zakonnik, z rodu Hiszpan, zagorzały katolik, sprzymierzeniec Don Carlosa, a tem samem przeciwnik młodego króla Alfonsa, obstawał w zagorzałej dyspucie z moim mężem za dalszym przelewem krwi, co jak na księdza, nie było wcale po chrześciańsku... Po ukończonej dyspucie dano nam na nocleg celkę sklepioną, z kamienną podłogą, małem zakratowanem okienkiem i dwoma porządnie usłanemi łóżkami. Bańka mosiężna na postumencie, napełniona oliwą z otworami na 4 kaganki, zastępowała nam lampę i słabo oświecała nasz pokoik. Arystokratyczna to lampka, przyświeca dygnitarzom aż czterma światełkami, nam trzema, a biedniejszym dwoma, lub jednym tylko... c'est selon!

Nazajutrz o 7ej rano po przyjaznem pożegnaniu i spożyciu śniadania siedzieliśmy już na naszych koniach. Stopniowo natura w coraz dzikszym przedstawia się obrazie: droga najeżona kamieniami utrudnia szybsze posuwanie się... Na całej przestrzeni z Jaffy do Jerozolimy, co ćwierć mili spoglądają na siebie wieżyce zamieszkałe przez warty tureckie, rozstawione tutaj dla bezpieczeństwa pielgrzymów. Do niedawna beduini i inni rabusie napadali przechodniów, a postrach ich imienia był tak wielki, że dziś nawet przejeżdża się przez wioskę noszącą imie sławnego rozbójnika Aba-gosz, dawniej tam przebywającego, z którym, gdy nie można sobie było inaczej poradzić, zrobiono go szeikiem, czyli wójtem gminy... Od tej pory ma być niby bezpieczniej, co też potwierdzić możemy, gdyż tylko nas dwoje, z młodym chłopcem, przewodnikiem, przebyliśmy cało i szczęśliwie tę przestrzeń, dzielącą Jaffę od Jerozolimy.

(Koniec części pierwszej.)

SZCZĘŚCIE.

Wśród majowej zieleni,
Marząc, stąpa dziewczyna;
Czemu lica rumieni?
Wiotką kibić przegina?

Może ją myśl zamęścia
Zaprząta — luba postać?
Nie — ona szuka szczęścia,
Chce bzu gałązkę dostać

I gdy się wspina śmiało
Na paluszkach, wysoko,
Ziele ruch jej splątało,
Ku ziemi zwraca oko.

A gdy główkę pochyla,
Serce zadrży jej w łonie —
Widzi gałązkę lila,
I pięć listków w koronie.

I zerwie ucieszona,
I przygląda się blisko,
I zamyśla — zdziwiona,
Że los usiadł tak nisko.

M. Rodoć.

KARTKA MIŁOŚCI.

POWIEŚĆ EMILA ZOLI.

Spolszczyła

WINCENTA LIMANOWSKA.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(Ciąg dalszy).

II.

Nazajutrz, Helenie przyszło na myśl, że trzebaby pójść podziękować doktorowi Deberle. Czuła się trochę zakłopotana, przypominając sobie, jak go zmusiła niemal do przyjścia, jak noc całą spędził przy Joannie; usługa, którą jej przez to oddał, zdawała się, przechodzić zakres zwykłych odwiedzin doktora. Pomimo to zwlekała przez dni parę, czując jakiś wstręt do tego kroku, ale sama nie wiedziała dla czego. Tak wahając się, wciąż myślała o doktorze; jednego dnia spotkała go i skryła się przed nim jak dziecko. Potem gniewała się na siebie za tę nieśmiałość. Pewność i spokój wrodzony powstawały przeciw niespokojnemu żywiołowi, co zdawał się wkraczać w jej życie. To też postanowiła tegoż dnia jeszcze pójść z podziękowaniem do doktora.

Mała zachorowała w nocy z wtorku na środę, a teraz była sobota. Joanna zupełnie wyzdrowiała. Doktor Bodin, który przybiegł bardzo niespokojny, mówił o doktorze Deberle z szacunkiem, jaki się należy od biednego, starego doktora względem młodego kolegi bogatego i już słynnego. Uśmiechając się jednak z lekka — dodał — że majątek pochodzi od papy Deberle, człowieka, którego całe Passy szanowało. Dla syna pozostało nietrudne zadanie odziedziczenia półtora miliona i ogromnej klienteli. — Jest to zresztą człowiek bardzo zdolny, dodał pospiesznie doktor Bodin, i bardzo mi będzie przyjemnie naradzić się z nim co do zdrowia mojej małej przyjaciółki, Joanny.

Około trzeciej godziny Helena z córką zeszły na ulicę Vineuse, i uszedłszy kroków kilka, zadzwoniły do sąsiedniego domu. Obie były jeszcze w ciężkiej żałobie. Służący we fraku i białej krawatce otworzył im. Helena poznała wielki przysionek, ozdobiony portyerami ze wschodniej materyi; mnóstwo kwiatów na prawo i na lewo stało w skrzyniach. Weszły do małego pokoju, mającego obicia i meble koloru rezedy. Służący stanął i czekał. Helena powiedziała mu nazwisko swoje.

— Pani Grandjean.

Służący otworzył drzwi do bardzo wspaniałego salonu, żółto z czarnem, i usuwając się powtórzył:

— Pani Grandjean.

Helena, stanąwszy już na progu, chciała cofnąć się. W salonie koło komina spostrzegła młodą damę, siedzącą na wązkiej kanapce, którą całkowicie zajmowała swą szeroko rozłożoną suknią. Naprzeciw niej siedziała nie młoda osoba w kapeluszu i w szalu.

— Przepraszam — rzekła Helena — chciałam się widzieć z doktorem Deberle.

I wzięła za rękę Joannę, którą była puściła naprzód. Zadziwiła się i zażenowała, że tak wpadła do nieznajomej sobie osoby. Dla czego nie zapytała się o doktora? Wiedziała przecie, że jest żonaty.

Pani Deberle głosem szybkim i ostrym kończyła właśnie opowiadanie swoje:

— Cudowne to, cudowne!... Umiera tak naturalnie!... Chwyta się za piersi, odrzuca głowę i cała zielenieje... Trzeba ją widzieć, wierz mi panno Aurelio...

Ujrzawszy Helenę, powstała z wielkim szelestem sukni, zbliżyła się do drzwi i rzekła bardzo uprzejmie:

— Będzie pani łaskawa wejść, bardzo proszę... Mego męża nie ma... Ale bardzo mi będzie przyjemnie, bardzo przyjemnie, upewniam panię... To zapewne ta ładna panienka, co tak mocno owej nocy zasłabła... Proszę panią usiąść na chwilę.

Helena musiała przyjąć fotel; Joanna nieśmiało usiadła na brzegu krzesła. Pani Deberle znowu zasunęła się w głąb kanapki swojej i, ładnie śmiejąc się — dodała:

— To mój dzień. Tak, przyjmuję co sobotę... Piotr wprowadza wszystkich. Przeszłego tygodnia przyprowadził mi pułkownika, mającego podagrę.

— Co wygadujesz, Julisiu! — szepnęła panna Aurelia, stara biedna przyjaciółka, która ją znała od dziecka.

Chwilowe milczenie nastąpiło. Helena rzuciła okiem na bogaty salon, na firanki i krzesła, których czarna tkanina, przetykana złotem, rzucała do koła blask olśniewający. Na kominie, na fortepianie i stołach pełno było kwiatów. Jaskrawe, dzienne światło zalewało pokój cały, spływając przez okna, które wychodziły na ogród, gdzie widać było tylko drzewa bez liści i nagą ziemię. Gorąco było bardzo, tak jak w piecu; na kominie tliło się jedno tylko polano. Helena, przelotne rzuciła wejrzenie na gospodynię, rychło domyśliła się, że iskrzący się salon miał tylko służyć za ramy dobrze dobrane. Pani Deberle miała krucze włosy i płeć śnieżnej białości. Małego wzrostu, pulchna, ruchy miała powolne i wdzięczne. Na całem tem złocistem tle, przy ciemnych, bujnych włosach, blada jej cera nabierała pewnego odblysku czerwonawego. Wydała się Helenie czarującą.

— Okropna to rzecz konwulsye — zaczęła znowu pani Deberle. — Mój mały Lucyan miał je także, będąc niemowlęciem... Jakże pani musiała być niespokojna! Ale teraz drogie dziecię zdaje się być już zupełnie zdrowe.

Mówiąc to przeciągłym tonem, z kolei przypatrywała się Helenie, dziwiąc się i zachwycając jej pięknością. Nigdy jeszcze nie widziała kobiety, której postawa byłaby więcej królewska; żałobne szaty wspaniale ubierały tę wysoką i surową postać wdowy. Uwielbienie swoje wyraziła mimowolnym uśmiechem i zamieniła spojrzenie z panną Aurelią. Obie przypatrywały jej się z tak naiwnym zachwytem, że i ona z kolei lekko się uśmiechnęła.

Pani Deberle oparła się powoli na kanapce swojej i, biorąc w rękę wachlarz, który miała zawieszony u paska — rzekła:

— Nie byłaś pani na wczorajszem przedstawieniu w Wodewilu?

— Nigdy nie bywam w teatrze — odpowiedziała Helena.

— Mała Noemi była cudowna, cudowna!... Umiera tak naturalnie!... Chwyta się za piersi, ot tak, odrzuca głowę i zielenieje cała... Zrobiła ogromne wrażenie.

Czas jakiś roztrząsała grę aktorki, której zwolenniczką była. Potem przeszła do innych nowinek Paryża; do wystawy obrazów, gdzie widziała nadzwyczajne rzeczy; do głupiego romansu, o którym dzienniki tak wiele się rozpisywały; do skandalicznego wypadku, o którym półsłówkami mówiła z panną Aurelią.

I tak przeskakiwała z przedmiotu na przedmiot niezmęczona, mówiąc szybko i obracając się wśród tego wszystkiego jak we właściwej sobie atmosferze. Helena, dla której świat ten zupełnie był obcy, słuchała tylko i od czasu do czasu rzuciła jakieś krótkie słówko.

Drzwi się otworzyły, służący oznajmił:

— Pani Chermette... Tissot...

Dwie panie weszły; bardzo były ustrojone. Pani Deberle podeszła ku nim pospiesznie; suknia jej czarna jedwabna miała mnóstwo ozdób, a ogon tak był długi, że musiała go nogą odrzucać, jak tylko chciała się obrócić. Dobrą chwilę trwało szybkie krzyżowanie się cienkich głosików.

— Jakżeście panie dobre!... Zapominacie panie o nas...

— Przychodzimy względem tej loteryi, wie pani?

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze.

— Oh, nie możemy siadać. Musimy jeszcze być w dwudziestu domach.

— Ależ przecie zatrzymacie się panie chwileczkę.

Obie panie usiadły wreszcie na brzegu kanapy. Cienkie głosiki jeszcze cieniej odezwały się znowu.

— I cóż? wczoraj, w Wodewilu?

— Przepysznie!

— Wiecie panie, że odpina suknię i odrzuca włosy. Na tem zależy całe wrażenie.

— Powiadają, że połyka coś dla nadania sobie zielonej cery.

— Nie, nie, tylko wszystkie ruchy są obrachowane... Ale trzeba było obmyślić je naprzód.

— To zadziwiające.

Obie panie powstały. Za chwilę już ich nie było. W salonie znowu się zrobiło spokojnie i ciepło. Hyacynty, stojące na kominie, wydawały przenikliwy zapach. Z ogrodu dolatywał hałas gwałtownej kłótni wróblów, których całe stado zleciało się na trawnik. Pani Deberle, zanim usiadła, spuściła tiulową haftowaną zasłonę okna, naprzeciw którego siedziała; i wróciła na swe miejsce; łagodniejszy blask padł na nią.

— Przepraszam panią — rzekła — nie ma jednej chwili swobodnej...

I bardzo przyjaźnie znowu mówić zaczęła z Heleną. Zdawała się znać po części historyą jej życia, zapewne za pomocą ploteczek, które krążyły po domu, gdzie Helena mieszkała, a który był jej własnością. Ze śmiałością, pełną taktu i przyjaźni, jak się zdawało, mówiła o jej mężu i okropnej śmierci jego w hotelu Var na ulicy Richelieu'go.

— I to zaraz po waszem przybyciu, nieprawdaż? I nigdy przedtem nie byłaś pani w Paryżu... Musiało to być okropne, ta śmierć w nieznanem sobie miejscu, nazajutrz po długiej podróży, kiedy człowiek sam nie wie jeszcze, gdzie i jak się obróci.

Helena powoli potrząsła głową. Tak, były to straszne chwile. Choroba, która miała zabrać jej męża, nagle się rozwinęła nazajutrz po ich przyjeździe, w chwili kiedy właśnie mieli wyjść razem. Nie znała ani jednej ulicy, nie wiedziała nawet, w jakim cyrkule mieszka; ośm dni z rzędu zamknięta z umierającym, pod swojem oknem słyszała huk Paryża i czuła się samotną, opuszczoną, zgubioną jak na pustyni. Kiedy po raz pierwszy zeszła na ulicę, była już wdową. Dreszcz ją przeszywał na samo wspomnienie tego wielkiego, pustego pokoju, w którym było tylko pełno flaszeczek z lekarstwami i pozamykane jeszcze tłomoki.

— Mąż pani, jak mi mówiono, był podobno dwa razy starszy od pani?—zapytała pani Deberle z wyrazem głębokiego współczucia; panna Aurelia dobrze nadstawiała uszu, nie chcąc stracić ani słówka z rozmowy.

— Gdzież tam — rzekła Helena — o sześć lat tylko był starszy.

I w krótkich słowach opowiedziała historyą małżeństwa swego. Jak mąż jej zakochał się w niej, kiedy mieszkała z ojcem swoim, kapelusznikiem Mouret na ulicy Petites-Maries w Marsylii; jak rodzina Grandjean, bogatych rafinerów, oburzona ubóstwem młodej dziewczyny, uparcie sprzeciwiała się małżeństwu; jak smutno i pokryjomu odbył się ślub ich; a potem jak niepewny byt mieli, aż dopiero jeden ze stryjów umierając, zapisał im około dziesięciu tysięcy franków dochodu. Wówczas to Grandjean, który znienawidział był Marsylią, postanowił osiedlić się w Paryżu.

— W jakim wieku wyszłaś pani za mąż?— spytała jeszcze pani Deberle.

— Miałam lat siedmnaście.

— Musiałaś pani być bardzo piękną.

Rozmowa urwała się. Helena udała, że nie słyszy.

— Pani Manguelin — oznajmił służący.

Młoda kobieta nieśmiało weszła. Pani Deberle zaledwie się podniosła trochę. Była to jedna z jej protegowanych i przychodziła z podziękowaniem za oddaną usługę. Zabawiła chwil kilka i wyszła z niskim ukłonem.

Pani Deberle wróciła do rozmowy, której przedmiotem stał się teraz ksiądz Jouve; obie go znały. Był to skromny wikaryusz przy kościele Notre-Dame-de Grâce, parafii Passy; dla pobożności swojej jednak był najwięcej poważany i kochany w całym cyrkule.

— Co to za namaszczenie! — szeptała z miną nabożną.

— Bardzo był dobry dla nas — rzekła Helena. — Mój mąż znał go dawniej w Marsylii... Jak tylko dowiedział się o mojem nieszczęściu, natychmiast podjął się wszystkiego. On to umieścił nas w Passy.

— Zdaje się ma brata?

— Tak, matka jego wyszła powtórnie zamąż... Pan Rambaud znał także męża mego... Założył główny skład oliwy i towarów południowych na ulicy Rambuteau i ma podobno wielkie dochody.

Ksiądz i brat jego to cały mój dwór — dodała wesoło.

Joanna nudziła się, siedząc na krzesełku swojem; z wyrazem niecierpliwości spoglądała na matkę. Delikatna jej twarzyczka wyrażała cierpienie, jak gdyby wszystko, co tu mówiono, sprawiało jej przykrość; chwilami wciągała w siebie ciężki i silny zapach salonu i ukośne spojrzenia rzucała na meble — nie dowierzała im — nadzwyczajna czułość organizmu ostrzegała ją przed nieokreślonem niebezpieczeństwem. Potem znowu zwracała oczy na matkę z wyrazem tyranicznego uwielbienia.

Pani Deberle spostrzegła to niezadowolenie dziecka.

— Otóż to — rzekła — młoda panienka nudzi się, że jej każą być tak rozsądną jak doro-

słej pannie. Proszę, tam na stoliku leżą książki z obrazkami.

Joanna powstała i wzięła album; ale spojrzenia jej znowu pobiegły do matki z wyrazem gorącej prośby. Helena, ujęta uprzejmością gospodyni nie ruszyła się z krzesła; powolnego będąc charakteru, chętnie siedziała na miejscu godzinami całemi. Ale kiedy służący raz po raz wymienił nazwiska trzech dam: pani Berthier, pani Guirand i pani Levasseur, zdawało się jej, że powinna już powstać. Pani Deberle, widząc to — zawołała:

— Zostań pani, muszę pokazać pani mego syna.

Kółko, otaczające komin, rozszerzyło się. Wszystkie te panie mówiły jednocześnie. Jedna z nich utrzymywała, że upada ze znużenia; i opowiadała, iż od pięciu dni nie kładła się wcześniej jak o czwartej rano. Inna gorzko się uskarżała na mamki; niepodobna już było znaleźć między niemi ani jednej uczciwej. Wreszcie rozmowa padła na szwaczki. Pani Deberle twierdziła, że kobieta niezdolna jest do krawieczyzny damskiej, że kobieta nie potrafi dobrze ubrać innej; trzeba na to mężczyzny. Tymczasem dwie panie szeptały z sobą półgłosem, i kiedy chwilowe zrobiło się milczenie, kilka słów z ich rozmowy dało się wyraźnie słyszeć: wszystkie wówczas zaczęły śmiać się, wachlując powoli.

— Pan Malignou — oznajmił sługa.

Młody, wysoki mężczyzna, starannie ubrany, wszedł do salonu. Pozdrowiono go lekkimi wykrzyknikami. Pani Deberle, nie wstając podała mu rękę i rzekła:

— No jakże! wczoraj w Wodewilu?

— Obrzydliwe! — zawołał.

— Jakto, obrzydliwe!... Ależ cudownie gra — chwyta się za piersi, odrzuca głowę.

— Dosyć, dosyć! to tak realne, że aż obrzydliwe!

Rozpoczął się spór. Łatwo to powiedzieć realizm. Ale młodzieniec nie życzył sobie wcale realizmu.

— W niczem — mówił podnosząc głos — w niczem! Jest to upodlanie sztuki.

Piękne rzeczy pokazałyby się wreszcie na scenie! Czemuż Noemi nie posunęła dalej jeszcze realizmu swego? Tu zrobił ruch, który zgorszył wszystkie panie. Fi! co za szkaradzieństwo! Ale kiedy pani Deberle wygłosiła swój frazes o ogromnem wrażeniu, jakie artystka zrobiła, a pani Levasseur opowiedziała o jednej damie, która zemdlała na galeryi, zgodzono się wreszcie, że sztuka ogromnie się powiodła. Na tem słowie skończył się spór.

Młody człowiek, otoczony gronem pań, wygodnie wyciągnął się w fotelu. Zdawał się być na bardzo poufałej stopie w domu doktora. Mechanicznie wyjął ze skrzynki kwiatek i żuł go. Pani Deberle zapytała:

— Czytałeś pan romans?...

Nie dał jej dokończyć i odpowiedział tonem wyższości:

— Czytuję dwa romanse tylko na rok.

Co do wystawy sztuk, prawdziwie nie warto było trudzić się jej oglądaniem. Kiedy wszystkie przedmioty rozmowy zostały już wyczerpane powstał i zbliżył się do Julii; oparłszy się o małą kanapkę, na której siedziała, zamienił z nią słów kilka po cichu, podczas kiedy inne panie żywo rozmawiały między sobą.

— Patrzcie! Już go nie ma — zawołała pani Berthier, obracając się. — Przed godziną widziałam go u pani Robinot.

— Tak, bywa także u pani Lecomte — rzekła pani Deberle. O, to człowiek najbardziej zajęty w całym Paryżu.

I zwracając się do Heleny, która przypatrywała się tej scenie — mówiła dalej:

— Jest to wielce wykształcony człowiek, którego bardzo lubimy... Ma zajęcie u ajenta bankowego. Zresztą bardzo jest bogaty i ze wszystkiem obeznany.

Damy zabierały się do wyjścia.

— Żegnam kochaną panią, liczę na panią we środę.

— Będziesz pani na tym wieczorze? Bo to nigdy nie wiadomo z kim się człowiek znajduje. Jeżeli pani będziesz to i ja także.

— A więc dobrze, będę, przyrzekam pani. Proszę oświadczyć ukłony moje panu Guirand.

Kiedy pani Deberle wróciła się odedrzwi, znalazła Helenę, stojącą na środku salonu. Joanna przyciskała się do matki, którą wzięła za rękę i konwulsyjnym a pieszczącym ruchem palców swoich raz po raz ciągnęła ją ku drzwiom.

— A, prawda! — szepnęła gospodyni domu. Zadzwoniła na służącego.

— Piotrze, powiedz pannie Smithson, żeby przyprowadziła Lucyana.

Zaledwie służący wyszedł, drzwi się otworzyły, i poufale, bez żadnego zawiadomienia weszła do salonu piękna dziewczyna lat szesnastu, a za nią mały staruszek z twarzą okrągłą i rumianą.

— Dzień dobry, siostro — rzekło dziewczę, całując panią Deberle.

— Dzień dobry, Paulinko.., dzień dobry, ojcze... — rzekła pani Deberle.

Panna Aurelia, która dotąd wciąż siedziała koło komina, powstała dla powitania pana Letellier. Miał on wielki magazyn jedwabnych materyi na bulwarze kapucynek. Od śmierci żony oprowadzał wszędzie młodszą swą córkę, szukając dla niej dobrego męża.

— Byłaś wczoraj w Wodewilu? — spytała Paulina.

— O, cudowne! — machinalnie powtórzyła Julia, stojąc przed lustrem i poprawiając włosy.

Paulina skrzywiła się jak zepsute dziecko.

— Co to za nudna rzecz być młodą dziewczyną!... Poszłam z papą o północy do drzwi teatralnych, by się dowiedzieć, jak udała się sztuka.

— Tak — rzekł ojciec — spotkaliśmy tam Malignou'a. Mówił, że bardzo dobrze powiodła się.

— Tak? — zawołała Julia — tylko co tu był i utrzymywał, że to obrzydliwe... Z nim nigdy nie wiadomo, czego się trzymać.

— Dużo miałaś gości? — zapytała Paulina, przeskakując nagle do innego przedmiotu.

— O! mnóstwo osób, wszystkie te panie! Wciąż było tu pełno... Ledwie żyję...

Tu przyszło jej na myśl, że zapomniała o przedstawieniu podług przyjętych formuł i, przerywajac sobie — rzekła:

— Mój ojciec i siostra moja... pani Grandjean...

I rozpoczęto rozmowę o mniejszych i większych dzieciach, które sprawiają tyle kłopotu matkom. Po chwili weszła do salonu panna Smithson, guwernantka, Angielka; trzymała za rękę małego chłopczyka. Pani Deberle żywo przemówiła do niej słów kilka po angielsku, łając ją za to, że kazała czekać na siebie.

— Ach! otóż mój mały Lucyś! — zawołała Paulina, klękając przed dzieckiem z wielkim szelestem sukni.

— Daj mu pokój, zostaw go — rzekła Julia. — Chodź tu, Lucyanie; powiedz dzień dobry tej panience.

Chłopczyk posunął się naprzód zakłopotany. Miał co najwyżej lat siedm; gruby i krótki, jak lalka pretensyonalnie był ubrany. Widząc, że wszyscy patrzą na niego uśmiechając się, zatrzymał się i niebieskiemi zadziwionemi oczami przypatrywał się Joannie.

— Idźże — szepnęła matka.

Spojrzał na nią i znowu zrobił krok naprzód. W ruchach jego była zwykła chłopcu ociężałość; szyję miał wciśniętą między ramiona, wargi grube i nadęte, brwi lekko ściągnięte. Joanna cała w czerni, blada i poważna, widocznie onieśmielała go.

— Moje dziecko, ty także bądź uprzejmą — rzekła Helena, widząc sztywną postawę swojej córki.

Mała wciąż jeszcze trzymała rękę swej matki; palcami swymi głaskała je między rękawem a rękawiczką. Ze spuszczoną głową czekała na Lucyana; miała niespokojną minę dziewczyny dzikiej i nerwowej, gotowej uciec przed pieszczotą. Ale posunęła się także naprzód, kiedy matka z lekka ją popchnęła.

— Panienka musi pierwsza go pocałować — rzekła, śmiejąc się pani Deberle. — Damy muszą same z nim zaczynać... O! ciężkie stworzenie!

— Pocałuj go, Joanno — rzekła Helena.

Dziecię podniosło oczy na matkę; potem, jak gdyby ją przejednała głupowata mina chłopczyka, i nagle rozczuliła zakłopotana jego minka, ślicznie się uśmiechnęła do niego. Twarz jej rozjaśniła się pod wpływem głębokiego, wewnętrznego uczucia.

— Chętnie, mamo — szepnęła.

I objąwszy Lucyana, podniosła go prawie i mocno ucałowała w oba policzki.

— Otóż tak dobrze! — zawołali wszyscy obecni.

Helena żegnała się, pani Deberle odprowadzała ją do drzwi.

— Proszę panią — rzekła — złożyć podziękowanie moje doktorowi... Uratował mię owej nocy od śmiertelnego niepokoju.

— To Henryka nie ma? — przerwał pan Letellier.

— Nie, wróci późno — odpowiedziała Julia.

Widząc, że panna Aurelia powstała także, zabierając się do wyjścia z panią Grandjean — dodała:

— Zostajesz przecie na obiedzie z nami. To już wiadomo.

Stara panna, która każdej soboby czekała na to zaproszenie, zdecydowała się teraz zdjąć szal i kapelusz. W salonie ogromnie duszno było. Pan Letellier otworzył okno i stał przed niem, przypatrując się krzakowi bzu, na którym były już pączki. Paulina biegała z Lucyanem między krzesłami i fotelami, które goście porozstawiali.

Na progu już pani Deberle ruchem, pełnym przyjaznej szczerości, wyciągnęła rękę do Heleny.

— Pozwolisz pani — rzekła. — Mąż mój mówił mi o pani, uczułam do niej pociąg. Nieszczęście pani, samotność... Dość, żem bardzo szczęśliwa ze znajomości, i mam nadzieję, że nie skończy się na tem.

— I owszem, bardzo mi będzie przyjemnie i bardzo dziękuję — odpowiedziała Helena,

wzruszona tym objawem uczucia u osoby, która wydała się jej, jak gdyby miała głowę trochę przewróconą.

Trzymały się za ręce, patrząc na siebie z uśmiechem. Julia z wyrazem pieszczotliwym wyznała przyczynę nagłej swej przyjaźni:

— Jesteś pani tak piękna, że chcąc nie chąc trzeba cię kochać.

Helena zaśmiała się wesoło; piękność jej nie niepokoiła ją wcale. Przywołała Joannę, która przypatrywała się zabawie Lucyana i Pauliny. Pani Deberle przytrzymała dziewczątko — mówiąc:

— Jesteście odtąd dobrymi przyjaciołmi, powiedźcież sobie: dowidzenia.

Dzieci końcem paluszków posłały sobie wzajemnego całusa. (C. d. n).

POGADANKI O WŁOSZECH

Olgi hr. Komorowskiej.

V.

(Dokończenie).

Kuchnia włoska dla nas, przyzwyczajonych do obfitego jadła na północy, z początku pobytu wydaje się istną satyrą, urągającą na nienasycony nigdy żołądek i cierpi się nawet głód rzeczywiście; zaledwie powstawszy od jednego obiadu, mógłbyś natychmiast zasiąść do drugiego, ale warunki klimatu są takie, iż zbyt pożywne, rozgrzewające jedzenie staje się łatwo szkodliwem.

Włoch z natury skromnym bywa, niewybrednym w wyborze i małą ilością jadła zadawalnia się łatwo, a im dalej na południe półwyspu, tem mniej i gorzej jadają. Oliwa, używana prawie wyłącznie do przyrządzania potraw, czyni je strawniejszemi, choć mniej smacznemi. Lud prosty w całym kraju mięsa nie lubi i nie jada, żywi się jarzyną i mąką; Toskania i wschodnia Ligurya, równie jak północna część Abruzzów kasztanową mąką, z której wypiekają cienkie placki i robią rodzaj lemieszki gęstej, słodkiej i bardzo pożywnej, choć mdłego nieco smaku; popite winem ostro kwaskowatem, wszelkie te potrawy mało osolone i najprościej przyrządzone, dają posiłek dostateczny stosownie do wymagań klimatu. Na wyższych górach, gdzie powietrze jest dużo ostrzejszem, znaleźć można jadło prawie naszego wieśniaka; kasza jęczmienna na rzadko gotowana z fasolą, ziemniakami, bobem, grochem, słoniną okraszona; pierogi z serem owczym i chleb czarny, pół pszeniczny, pół żytni, lub jęczmienny. Ma się rozumieć, że nadmorska ludność przeważnie żywi się rybami, co mianowicie na wybrzeżu morza Śródziemnego bywa powodem zapalenia oczu i wyrzutów skórnych bardzo dokuczliwych, do trądu podobnych, najwięcej dzieci prześladujących.

Pomału i tu z nową wchodzącą w życie cywilizacyą zacierać się poczynają dawne obyczaje i obrzędy ludowe, a te, co się jeszcze zachowały, będą przedmiotem następnej pogadanki. Wraz z tymi starodawnymi zabytkami i ubiór ludu traci na swej malowniczej, pierwotnej prostocie i formie, a zastępowanym bywa odzieniem bez żadnej odrębnej cechy. Jedynie w główne uroczystości, dni odpustów i to z siół ukrytych w dolinach górami oddzielonych od wszelkiego wpływu postępu, oddalonych od dróg żelaznych, znaleźć się uda narodowe stroje i to przez starsze pokolenie noszone; młodzież pała żądzą naśladowania mieszczan i przyswaja sobie chętnie ów nieopisanej formy ubiór, po całym świecie dziś rozpowszechniony, a w którym tak im nie do twarzy. Różnokolorowe koszule mężczyzn, czerwone czapki i pasy tegoż koloru wdzięcznie odbijają od błękitu fal morskich, a kobiety jakkolwiek nędznie ubrane w ciemnych, jednostajnych perkalowych sukniach, zręczne kibicie, drobne rączki i nóżki posiadając, ladajaką chusteczką osłoniwszy głowę i szyję, wyglądają strojnie na piaszczystem wybrzeżu; morze bowiem cudnie jaskrawemi barwami maluje krajobraz i ludzkie postacie. Te ogorzałe słońcem i ubrązowane słonym wiatrem twarze, silne piersi na pół odkryte, żylaste ręce z pozataczanymi rękawami koszuli, muszkularne nogi z pod krótko zawiniętych do kolan spodni wychodzące, zdają się należeć do bazaltowych posągów. Ci ludzie przywykli do pracy na morzu i walki z żywiołami, są odważni, milczący i w sobie zamknięci; taki stary rybak, co życie całe przekołysał się na rodzinnej fali i zna każdy jej uśmiech i najmniejszy gniewu objaw, kiedy spocznie na piasku mimowolnie przybiera pozę, w której malować go można lub rzeźbić; a owe kobiety z bogatym warkoczem kruczych włosów niedbale w koło kształtnej główki okręconym, lekkie, proste jak bajadery, zaokrągliwszy wzniesione w górę ramiona, dźwigając wielkie kosze ryb, mogą natychmiast służyć za model, tak ślicznym rumieńcem i barwą życia pełną chude ich policzki barwi owo południowe słońce.

Wieśniak około roli pracujący jest zwyczajnie krępszy, okrąglejszy, bardziej szerokich ramion, lecz mniej czysto klasycznych form i rysów; rozmowniejszym też i weselszego usposobienia bywa, choć nieco tępszego pojęcia, podczas kiedy nadmorski mieszkaniec nerwowy, umysłem o wiele rolnika przechodzi; pierwszy od szumiącej fali i wiatru wiejącego ze wszystkich stron świata nabył sprężystości myśli, a podróże nieraz odległe do obcych krajów, lub przynajmniej do wysp i miast portowych dalszych, rozwijają jego wiadomości; drugi przykuty pracą do ziemi, na której się urodził, ma nieco spokoju i słodkiej głupoty swych białych wołów, z którymi dnie spędza, a kiedy potężny głos morza uczy rybaka milczenia, wdzięczne świegotanie ptasząt zachęca rolnika do rozmowy. Kobiety w tej klasie są wielomowne, wesołe, dobroduszne, a nie będąc tu obciążone pracą lubią piosnki, tańce i zabawy. Żony rybaków, przyzwyczajone większą część życia spędzać same, bez opieki mężczyzn, mają więcej powagi i samoistności, gdyż im to wypada myśleć o dziatwie a często i potrzebach męża, co nie zawsze zarabia dostatecznie na utrzymanie całej rodziny i walczyć z życiem na stałym lądzie równie ciężko i mozolnie, jak ich mężowie, bracia, na falach zdradliwych. Walka ta wyrabia w nich większą niepodległość woli, podczas gdy żony rolników, używające ciągłej opieki i dozoru swych mężów, więcej niewieścio dziecinnemi zostają i we wszystkiem odnoszą się zawsze do gospodarza, uważając się jakby jego wyłączną własnością.

Pasterze z gór apenińskich, co lato wśród swych skał ojczystych spędzają, a zimę w dolinach Toskańskich, bywają zabawnymi typami głupoty owczej i koziej figlarności, czasami z chytrością lisią złączonych. Nudne, bezbarwne życie w towarzystwie zwierząt, w wielu z nich rozwija nałogowe pijaństwo, w innych budzi wyobraźnię; są to zwyczajnie niewyczerpani bajarze, a w tych gadkach ludzie i bydło w jedno zmięszani przedstawiają wielkie podobieństwa w głównych zarysach charakterów. Jest tam zawsze jakiś królewic przebrany za pasterza, którego czarny baran uczy rozumu i strzeże jak drugi Mentor; to znowu ten królewic szuka w trzodzie pięknej królewny swej kochanki, przez złą wróżkę w pstrą owieczkę zmienioną; albo pasterz, co pokochał królewnę i płacze, że jej dostać nie może, pytając o radę kóz białych i czerwonych, między któremi zawsze znajdzie się jakaś rozumna, co mu dobrze doradzi. Znają oni wybornie topografię swoich gór, ale na zioła mało uwagi zwracają, ogólnie na chorobach swych trzód się nie znają i prawdziwych potrzeb jego nie rozumieją. Sądzić nam jednak wypada, że ta obojętność jest skutkiem wpojonego im przekonania, że zwierzę, nie mając duszy cierpieć nie może, obchodzą się jednak z bydłem łagodniej i umiejętniej od rolników i przypisują mu więcej zdrowego rozumu, bo gdy rolnik używa porównania: głupi jak bydlę; pasterz znów nieco pogardliwie się wyraża: głupi jak chłop.

W ludzie do tej pory jeszcze mieszka utkwione przywiązanie do dawnego porządku rzeczy i nie mogą się pogodzić z nowym; a to najprzód dlatego, że wszystko podrożało, i podatki większe płacić trzeba. Nieraz tłumaczyliśmy tutejszym wieśniakom, iż obecnie kraj posiada szkoły, koleje żelazne, różne ulepszenia, o których pierwej nie słyszano nawet. Zamykali nam usta tą samą odpowiedzią:

„Ba! dawniej za pół franka jeden człowiek nie mógł sam wypić wina, a chleb kosztował ósmą część tego co dzisiaj. Co nam ze szkół, przez to ziemia więcej nie wyda, a koleją żelazną jeżdżą ci, co w miastach mieszkają. Ej taki pierwej lepiej bywało!“

W ogólności między mieszkańcami miast i siół istnieje pewien rodzaj niedowierzania i niechęci; mieszczanin pogardza wieśniakiem, bo mu się wydaje nieokrzesanym gburem, a wieśniak uważa go za zepsutego i złych obyczajów.

Ciekawi jesteśmy czy gdy i nam zaświta wolność, nasz wieśniak wzdychając będzie mówił: Ej dawniej lepiej bywało! Od nas samych to może zależy, aby to westchnienie nigdy się z jego piersi nie wyrwało. Nie sądzimy bowiem, jak włoski mieszczanin, że wieśniak jest głupim; przypatrzywszy się bliżej ujrzymy wnet, iż tak go nazwać nie można. W bratnim uścisku objąć powinniśmy wszystkich, bo Chrystus, mistrz równości, powiedział: „Pozwólcie maluczkim przychodzić do mnie.“ A dla czego? aby ich podnieść ku sobie miłością i oświatą.

Piśmiennictwo polskie.

(Dokończenie).

(Listy Jana Śniadeckiego w sprawach publicznych od 1788 do 1830. Wstęp i przypiski J. I. Kraszewskiego. Poznań. Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego.)

Drugi dział listów jest najobfitszy i najciekawszy. Należą tu listy w sprawie funduszów Akademii, które konfederacya Targowicka zagarnąć chciała, pisane w części z Warszawy przed otwarciem sejmu grodzieńskiego, w części z Grodna podczas sejmu. Znajduje się w nich niemało oderwanych rysów do charakterystyki owczesnego rozpaczliwego położenia Polski i do charakterystyki pojedyńczych osób, które ważniejszy udział

brały w ówczesnych wypadkach. Przedewszystkiem dają nam one pełny obraz wytężonych usiłowań, niestrudzonych zabiegów Śniadeckiego w sprawie ocalenia funduszów Akademii. W rozbiciu powszechnem, politycznem i moralnem, prywata rządziła wszystkiem, wszystkiemu nadawała kierunek, na każdym kroku zabiegała drogę Śniadeckiemu. Walcząc z tą stugłową żmiją, musiał używać rozmaitej broni i taktyki, to usypiać jej czujność, to iść wstępnym bojem, a ledwie uciął jej jednę głowę, gdy wnet inna natomiast odrastała. Z Warszawy jeszcze (9. czerwca 1793) pisał: „Względem dóbr szkoły głównej chodziły tu trzy projekta od Krakowianów podawane... Gdybym tu nie był przybył, byłyby się dwa, pierwszy i trzeci, na niektóre wioski akademickie utrzymały. Wyszpiegowawszy to i nawet autorów, oświadczyłem osobom, przez które to chciano robić, że najsilniejszy manifest na tak srogą niesprawiedliwość i grabież, praktykowaną na zgromadzeniu najistotniejsze usługi narodowi czyniącem podam i wydrukuję, pójdę z Akademii i koledzy moi zechcą pójść za moim przykładem, a zostanie się cecha hańby dla tych, którzy do tego kroku rozpaczy ludzi niewinnych i pożytecznych przywiedli. Rzekłem dalej w zapale: iż wiem, że stan ludzi rząd narodu trzymających przyszedł do tego punktu odwagi, iż wszelką sromotę i ohydę znieść potrafią; ale też i to się zostanie, pod jakimi ludźmi dopełniony jest upadek kraju i najważniejsze administracyi publicznej rozsypane ogniwa. Pokaże się, że Polak więcej dokazać może przez chciwość, niż Tatar i najsroższy barbarzyniec przez okrucieństwo. To moje oświadczenie z determinacyą uczynione zrobiło skutek“...

Ale w Grodnie już takie otwarte przemówienie z serca, przejętego oburzeniem, nicby nie skutkowało. Żeby dopiąć swego i nie dać rozdrapać Targowiczanom funduszów Akademii, innych trzeba było dróg i sposobów. Informacyi tego rodzaju udzielił mu zacny Marcin Badeni, „jedyny człowiek powszechnie tu lubiony i wszystko wiedzący“. Przemawiać do patryotyzmu nie warto było tam, gdzie tylko „kilkunastu posłów z opozycyi dobrą wolą, wiarą czynili wszystko, zaś dwie partye panujące pasowały się, i jedna dla przeszkodzenia drugiej podsuwała się pod patryotyzm“. To też pisze Śniadecki 20. lipca 1790: „Menażowałem i kłaniałem się wszystkim, jak gdybym o niczem nie wiedział i tak myślę czynić zawsze, żeby mieć, jeśli nie przychylnych szczerze, to przynajmniej nie obrażonych tych, którzy kierują styrem interesu“. Najwyższą instancyą w sprawach publicznych wszelkiego rodzaju był wówczas w Grodnie ambasador rosyjski Siewers, człowiek, który wiernie spełniając złowrogie instrukcye swojej Imperatorowej względem Polski, po za granicami tych instrukcyi nie miał ochoty szkodzić i oceniał należycie nikczemność figur, które były narzędziami jego polityki. Trafił i do niego Śniadecki przez króla i uzyskał nieobłudne, przynajmniej jak sądził, poparcie ambasadora. Polecono Śniadeckiemu wygotować projekt edukacyjny, który przeszedł w deputacyi rządowej, ale cóż kiedy bezczelność Targowiczan do tego stopnia się posunęła, że sfałszowano projekt dwa razy, naprzód w przepisywaniu, a potem w druku. „Raczyński, Ankwicz i Ożarowski kasztelan zrobili intrygę przeciwko nam najniegodziwszą... (pisze Śniadecki 23. paźdz. 1793) „Raczyński, trzymając pióro, w przepisywaniu inny projekt substytuował: takie fałszerstwo doniesiono mi pod sekretem w nocy w sobotę, co takie wzruszenie we mnie zrobiło, że gorączka wielka porwała mnie i całą noc dręcząc, sen i ledwo nie przytomność odjęła“.

Ogłosił natychmiast to fałszerstwo Śniadecki, król i nawet ambasador oburzali się na nie, powykreślano ustępy powtrącane, a przecież takie było niesłychane rozprzężenie wszelkiej władzy, że ciż sami fałszerze po raz drugi mogli się dopuścić fałszerstwa już w druku i utrzymali się przy niektórych sfałszowanych ustępach. Król, mający zawsze łez podostatkiem, „aż zapłakał nad takim przykładem niegodziwości?

Całe to pół roku siedzenia w Grodnie było dla Śniadeckiego istną próbą czyśćcową. Ciągła praca, zabiegi, niepokój, ujadanie się z nieuczciwymi a możnymi ludźmi, przy temperamencie niesłychanie wrażliwym, niewygodach i panującej wówczas drożyźnie, wszystko to go tak rozstroiło, że wzywał Akademii, aby kogo innego na jego miejsce dla dokończenia sprawy wysłała, „bo ja widzę — pisał — żebym się tu dotrawił zupełnie“. Nie miała jednak Akademia nikogo, ktoby mógł zastąpić Śniadeckiego i musiał on pozostać do końca.

Taka trzeźwa, gorliwa i niezmordowana praca nawet oczy obojętnych zwróciła na niego. Książę biskup wileński, jedna z najbardziej znaczących wówczas figur, który powiadał o Śniadeckim, że troszczy się o Akademię jak o własną żonę, chciał go zaszczycić urzędem w komisyi edukacyjnej. „Ale ja na to powiedziałem, że nie chcę nic, tylko żeby mi pozwolono pracować w tem, do czegom się sposobił i dano to, co mi jest przyrzeczono. Takie to tu sny chodzą po głowach, które gdyby czyją próżność mogły wzruszyć, możnaby się wypromowować na błazna“. Król także chciał go wynagrodzić, ale do tego celu obrał order św. Stanisława, ów order, którego 50 sztuk wraz z 25 sztukami Orła białego darował był kanclerzowi z pozwoleniem na sromotną sprzedaż po 50 dukatów. To też Śniadecki nie chciał się i tym razem „wypromowować na błazna“ i znieważonego orderu nie przyjął.

Następny, trzeci dział zawiera w sobie tylko kilka listów z r. 1794. Delegacya szkoły głównej miała się porozumiewać z nową komisyą edukacyjną pod względem nowych reform i oszczędności. Wbrew woli wciągnięto do tej delegacyi Śniadeckiego, który już chciał tylko oddać się samej nauce. Wywdzięczając się za ten zaszczytny przymus, przesyła Śniadecki w liście z 27. stycznia 1794 r. swoje uwagi szkole głównej. Jak w Grodnie bronił materyalnych interesów Akademii wobec chciwości Targowiczan, tak w tych uwagach broni interesów naukowych wobec samejże Akademii, każąc jej pamiętać „że Akademia nie jest domem miłosierdzia, ustanowionym do utrzymania egzystencyi umieszczonych w niej osób. ale że to jest instytut do utrzymania i szerzenia światła nauk, a zatem osoby wtenczas tylko mają prawo do opieki i opatrzności rządowej, kiedy jest całkiem dopełniony objekt ich pracy i talentom poruczony“.

Dział czwarty obejmuje listy z r. 1796, pisane z Wiednia, dokąd się znów udał był Śniadecki w sprawach Akademii, która po ostatnim rozbiorze przeszła pod rząd austryacki, i gdzie podobną jak w Grodnie rozwijał energię. Nareszcie do działu ostatniego wchodzą listy z rozmaitych lat, pomiędzy r. 1803 a rokiem śmierci Jana, tj. 1830. Listów tych zresztą także zaledwie kilka. Na szczególną uwagę zasługuje tu list do hr. Morskiej w Zarzyczu, dawnej przyjaciółki Śniadeckiego pisany w czerwcu 1830, a to pod tym względem, iż prostuje Balińskiego piszącego w Pamiętnikach (T. I. str. 807), że Śniadecki pod koniec życia czytając utwory genialne Mickiewicza razem z dziełami Byrona „zdawał się uznawać i przeczuwać znaczenie i wpływ poezyi romantycznej....“ a kiedy w rozmowach w obec niego broniono praw romantyzmu, to on „albo milczeniem, albo nawet zgadzając się w wielu punktach, potwierdzał to zdanie i zdawał się żałować uprzedzeń swych przeciw romantyczności.“ Otóż list do hr. Morskiej, pisany na pięć miesięcy przed śmiercią Śniadeckiego, dowodzi, że nasz astronom nie pozbył się tych uprzedzeń do końca życia. Pisze on: „Jakby to dobrze było, żeby Polki za przykładem J. W. Pani Dobrodziejki zatrudniały się czytaniem ksiąg pożytecznych: o ogrodach, kwiatach, drzewach, roślinach, hodownictwie, o historycznych opisach krajów, przymiotach ich mieszkańców etc etc., a przytem zajmowały się jakim przedmiotem domowym, pokazującym im użycie i przystosowanie tych wiadomości, więcejby korzystały z podobnego zatrudnienia, *jak z czytania Walter Skotta i Byrona, które nazwać można próżniactwem literackiem, zapalającem dość drażliwą w kobietach imaginacyą, a trującem rozsądek.*“

Dziś, gdy fala romantyzmu już odpłynęła, gdy stoimy u wejścia do nowej jakiejś fazy poezyi, uprzedzenia Śniadeckiego przeciw romantycznemu kierunkowi, nie wydają się nam tak krzyczącemi, jak się wydawały przed pięćdziesięciu laty zapalonym adeptom tylko co rozbudzonego u nas romantyzmu. Nie możemy powiedzieć z Balińskim, że Śniadecki przeczuwał znaczenie i wpływ poezyi romantycznej, i owszem musimy powiedzieć, że nie uznawał do końca życia użyźniającej potęgi jego, ale za to przed trzeźwem okiem naszego uczonego nie uszły słabe strony romantyzmu i zarzut „zapalania imaginacyi i trucia rozsądku,“ jeżeli niezupełnie słusznie wymierzony przeciw Walter Skotowi i Byronowi, da się bardzo dobrze zastosować do niektorych naszych późniejszych wybujałych romantyków. Wierzyć także można, że gdyby sędziwy nasz astronom dożył chwili ukazania się „Pana Tadeusza,“ dzieło to, w którem romantyzm z klasyczną wystąpił plastyką, jasnością i powagą, wywołałoby zupełny przewrót w wyobrażeniach poetyckich Śniadeckiego.

Co się tyczy samego wydania listów, to trzeba wyznać, pomimo iż na okładce tytułowej najpopularniejsze dziś imię Kraszewskiego spotyka się z najzasłużeńszą firmą księgarską Żupańskiego, że nie jest ono bez zarzutu. Wstęp i przypiski Kraszewskiego pisane są nadzwyczaj doryweczo, z pośpiechem, czemu się zresztą nie można dziwić, zważywszy ogrom pracy tego pisarza. Że w obecnym zbiorze listów Śniadeckiego wydrukowane są dwa do Kołłątaja, które już Baliński był umieścił. to się zupełnie usprawiedliwia tem, że w Pamiętnikach Balińskiego były poopuszczane niektore ustępy; ale po co wydawca umieścił, jako rzecz nową, bo bez żadnego odnośnika, „Przełożenia i prośby szkół głównych: koronnej i W. X. Litewskiego do Stanów Najj. Rzeczypospolitej,“ skoro ten dokument co do słowa był wydrukowany u Balińskiego? (Tom I. str 234 i dalsze). Umieszczony przy samym końcu list Michała Balińskiego do hrabiny Morskiej, ze szczegółami śmierci Jana Śniadeckiego, poprzedzony jest najniepotrzebniej listem kogoś, któremu hrabina Mor-

ska pozwoliła zrobić kopię z listu Balińskiego i który tę kopię przesyła komuś. Mówię *kogoś* i *komuś* dla tego, że ani nazwisko piszącego, ani adresanta nie jest podane. Ale wszystko to są drobne usterki w obec tego, że wydawca tylko w pierwszym i drugim dziale i w niektórych listach działu piątego wskazał, do kogo te listy były pisane, resztę zaś listów Śniadeckiego podał bez adresu. Przypuszczam, że w autografach nie było adresu, alež do wydawcy należało starać się wywiedzieć o to, zbadać tę rzecz, porobić swoje przypuszczenia w razie niemożności odkrycia adresów, a przynajmniej choć w kilku słowach zwrócić uwagę na ten brak, a nie pomijać go zupełnem milczeniem, jakby rzecz bez znaczenia.

Józef Tretiak.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 11. lipca.

Wspólne śniadanko jakie sobie Europa wyprawiła w Berlinie, już ma się ku końcowi. Podług otrzymanych depesz Anglicy kazali sobie podać wina cypryjskie, a Moskale podług zwyczaju biorą w swe ręce Batum, czyli jak się mówi po polsku bat. Dla naszej przybranej ojczyzny zostały skielety gór Hercogowińskich w tem przekonaniu, że Austro-Węgry mają już żołądek odpowiednio usposobiony do przyjmowania różnogatunkowych pokarmów, i że strawią ten chudy kąsek dla zapewnienia bezpieczeństwa Europy...

Tak tedy bisurmańska potencya w Europie zjedzoną została dzięki uczciwemu pośrednictwu niemieckiego faktora, a my odnieśliśmy z tego przyjemną pociechę, że obok nas położył się drugi nieboszczyk kubek w kubek zabity w tenże sam sposób. Kto stracił na całej tej operacyi, to stracił, zawsze jednak zarobili żydzi i pokrewni im Anglicy: pierwsi dostali nieograniczone panowanie nad Serbią i Rumunią, drudzy nad Azyą mniejszą z przyległościami. Z operacyi takich wynika dla nas taka nauka: że zamiast udawania się pod opiekę hrabiego Platera, zamiast pisania exposé, smarowania stu arkuszy swemi nazwiskami, najbezpieczniej ukłonić się galicyjskiemu Szomer-Izraelowi. On przez niezaprzeczone wpływy i stosunki swe ze Stowarzyszeniem Izraelickiem wyjedna w Kongresówce wolność wyznań, a w Galicyi zniżenie stopy procentowej z dwunastu na jedenaście...

Nie potrzebujemy długo czekać na tę sposobność, wszak jeszcze faktor uczciwy nie zapłacony, widocznie nie ukończył całego interesu, więc gdy nowy kongres weźmie się znów do podziału drugiego przyjaciela, zwracamy uwagę zasłużonych mężów politycznych w całej Polsce, aby tym razem u Szomer Izraela szukali opieki.

Żeśmy nic nie dostali, to nie ma się czemu dziwić, ale proszę sobie wyobrazić, co się tam dziać musi Włochom przyzwyczajonym przy każdej sposobności brać i annektować bez końca. Kazano im patrzeć, jak inni jedzą, a wiadomo, że taka operacya pobudza apetyt i ślinkę sprowadza na usta, zatem spodziewać się można, iż przy jedzeniu drugiego przyjaciela nie będą tyle wstrzemięźliwi.

My tu w Galicyi polityk ując na swój sposób, gdy nam się nie dało ocalić Turcyi, widocznie źle leczonej przez obcokrajowców, zostaliśmy pocieszeni, dowiedziawszy się z wysokiego rozporządzenia ministeryalnego, iż na przyszłość tylko obywatel austryacki ma prawo wysyłać na cmentarz drugiego podobnego sobie obywatela. Co znaczy patent fakultetu medycznego wobec niedostatku przysięgi na wierność państwu? nic, dla tego jestem zdania, że daleko skuteczniej na wszelkie reumatyzmy narodowe pomaga sam charakter poddanego Austro-Węgier, niżeli wszelkie egzamina, matury i tym podobne blichtry naukowe.

Wobec objawionej powszechnie intencyi opierania się panslawizmowi przez zabór Bośnii i Hercogowiny, mamy nadzieję, że wysokie Namiestnictwo nie odmówi obywatelstwa tym wychodźcom z Kongresówki, którzy tu pokończyli fakulteta medyczne i ciężko pracują na kawałek chleba jako lekarze. Dotąd wprawdzie nie mogli oni doprosić się tego zaszczytu należenia do gromady wiernych ludów stanowiących Austro-Węgry, lecz dziś gdy mają zagrożony byt materyalny, Namiestnictwo poda im bratnią rękę; inaczej bowiem krok taki rządu musielibyśmy uważać za grzeczną banicyę tych nieszczęśliwych.

Zły obrot sprawy polskiej na kongresie, jak równie pominięcie włoskiego rządu przy dziale łupów tureckich, spowodowały chorobę żołądkową u kilku członków trupy dramatycznej sławnego Rossi, który miał przyjechać do Krakowa i Lwowa. Z wielką boleścią serca uwiadamiamy o tem kieszenie zacnych obywateli naszych, którzy za mimiczne przedstawienia arcydzieł szekspirowskich byliby musieli grubo zapłacić. Że Warszawa się zachwyca, że tamtejsze gazety połowę swych szpalt zapełniają o cudownej grze tegoczesnego mistrza tragedyi — nie dziwimy się wcale. Tam przynajmniej na tysiąc widzów jeden umie po włosku, u nas ten procent jest znacznie mniejszy, choć w domu inwalidów na Żółkiewskiem mamy jeszcze wiarusów z pod Magenty, którzy znają ten boski język i mogliby w razie potrzeby służyć nam za tłumaczów. Wasz uniżony sługa, który miał to szczęście być na podobnych kazaniach włoskich pani Ristori, śmiało was zapewnia, że daleko więcej zajmie was gra p. Ładnowskiego w Otellu, niż forsowna mimika najlepszego mistrza tragedyi, gdy słów jego nie możecie rozumieć — zatem mała szkoda, krótki żal... Ot lepiej schowajmy naszą ciekawość dla Jego królewskiej Mości Szacha perskiego, syna pochmurnego słońca w baraniej czapce. Komitetowi, urządzającemu maskaradę z tylu innemi facecyami w Strzelnicy miejskiej na rzecz Harmonii i artystów opuszczonej sceny lwowskiej, obiecał swoją bytność, jeżeli go rozkosze wiedeńskiego życia nie zatrzymają dłużej. Dlatego spodziewamy się niezmiernego splendoru dla Lwowa, jeżeli szanownemu synowi słońca w baraniej czapce podoba się muzyka naszej Harmonii. O ile wieści nas dochodzą, mocarz ten z dalekiego wschodu ma jeszcze dwie szkatułki z imperyałami, dobrze więc będzie jeżeli Lwów zobaczy trochę tego uralskiego złota. Panowie kupcy i właściciele hotelów przygotowujcie swoje kieszenie, Szach płaci gotówką i wcale się nie targuje, kiedy mu za cygaro przyjdzie dać po kilka reńskich.

Teraz dopiero, z okazyi spodziewanego przyjazdu szacha, zrozumieliśmy, dlaczego szanowny Magistrat mimo powszechnych narzekań i prasy i publiczności lwowskiej nie każe zamiatać ulic wcześniej jak o dziewiątej z rana — idzie mu o to, aby uprzyjemnić pobyt tak kosztownego gościa, przedstawiając mu Lwów w guście oryentalnym.

Szanowne czytelniczki moje, i dla was mam pewne przyjacielskie ostrzeżenie. W salach magistrackich szykuje się na suknie wasze, a przynajmniej na tej część, która się za wami włóczy prawdziwy spisek. Rada miasta Pragi już wzięła się na seryo do waszego stroju zastępującego po części miotłę magistracką, i kazała was pociągnąć do odpowiedzialności za wdawanie się samowolne w jej attrybucye. U nas ta rzecz pójdzie dalej: mają was oskarżyć o systematyczne zagrażanie zdrowiu ludzkiemu i oddać w ręce prokuratora. Czy nie lepiej byłoby uprzedzić tę burzę i zrobić ogólne postrzyżyny tych włóczących się za wami naddatków?

W ubiegłym tygodniu, żaden cud nowy już nie przybył, chyba ten, że pewien jegomość w „cesarskim lasku" zastrzeliwszy się z rewolweru w samo serce, potem się powiesił, że *Ruch literacki* mimo wyjazdu głównego redaktora, będzie wychodził dalej, i że szanowny Magistrat uradziwszy przybyłe na jesienne manewry wojska, pomieścić w osobnych barakach, zdecydował, aby tych bohaterów rozdać w gościnę obywatelom miasta.

Ostatnią wiadomością, jaką wypada nam się podzielić z szanowną publicznością, jest przekroczenie ustawy o polowaniu przez odnośne organa wykonawcze we Lwowie. Mimo niewłaściwej pory, przez parę dni już odbywają się formalne łowy po miejscach publicznych na Szczutka, nie folguje się nawet gościom lojalnym, odbierając z rąk ich tego niebezpiecznego zwierza. Dziwimy się tylko, dla czego nie żąda się protokólarnej deklaracyi od tych, którzy go już przeczytali, że zapomną na wieki wieków o treści inkryminowanego artykułu!

Wiadomości z kraju i ze świata.

*** O wystawie obrazów Jana Matejki w Warszawie czytamy w Nowinach:

„Zamykająca się wkrótce wystawa w salonach ratusza należy do najważniejszych wydarzeń zaszłych na horyzoncie naszego życia artystycznego, a to z dwóch powodów, raz, że zawarła w sobie dzieła jednego z arcymistrzów naszego malarstwa, powtóre, że takie wystawy zbiorowe utworów jednego artysty nastręczają bardzo pożądaną sposobność do głębszych studyów, pozwalając widzowi wnikać w najskrytsze sprężyny twórczości, działające w umyśle artystycznym.

Piękne zaiste zadanie oczekuje przyszłego historyka sztuki polskiej, gdy mu przyjdzie oceniać znaczenie Matejki, jego genialne pomysły, siłę i energię, bijącą z każdego płótna dotkniętego jego mistrzowską ręką — nareszcie ten cały zasób duchowy, na który składają się zarówno czynniki ducha twórczego, jak i znakomita wiedza, poparta wyrobieniem technicznem, dochodzącem nieomal do ostatecznych wyżyn dostępnych artyście.

Dziś trudno wydawać sąd stanowczy o Matejce. Ten potężny talent jest obecnie w dobie rozwoju i niepodobna przewidzieć, jakimi jeszcze szlakami podążać może.

Dla tego też wstrzymamy się na tem miejscu od wszelkich uwag ogólniejszego charakteru, a ograniczymy się na kilku rysach pobieżnych.

Wystawa obecna przedstawia nam dwa działy, t. j. oryginały olejne i kopie drzeworytnicze, zebrane w wydanem przed paru laty Album p. Lewentala.

W dziale pierwszym znajdujemy kilka obrazów, które już poprzednio były wystawiane i oceniane przez prasę. Przypuszczając więc, że nie są obce

przynajmniej naszej warszawskiej publice notujemy je tylko. Tu idą koleją: *Otrucie królowej Bony*, *Skarga kaźący przed królem Zygmuntem III*. *Przyjęcie króla Kazimierza Wgo przez Wierzynka w Krakowie*, *Bolesław Łysy zwany Rogatką z lutnistą*, wreszcie *Biskup Stanisław Szczepanowski*, *napominający króla Bolesława Śmiałego*.

Z pomiędzy mniej znanych prac, wystawionych, o ile wiemy, po raz pierwszy w Warszawie, wymieniamy na pierwszem miejscu obraz przedstawiający *Jana Kazimierza na Bielanach*. Król w towarzystwie kilku magnatów i przeora Kamedułów opuszcza klasztor, w którym chwilowo szukał przytułku w czasie pożaru Krakowa, palonego umyślnie przez Czarneckiego w widokach wojennych. Wykonanie całości tchnie głęboką poezyą, możnaby rzec nawet pewną melancholią, a oblicze nieszczęśliwego króla-wieszcza uderza taką szlachetnością, że może śmiało iść o lepsze z jak najwspanialszemi kreacyami portretowemi nieśmiertelnego Van Dyck'a.

Drugi obraz rodzajowo-historyczny daje nam widzieć *Jana III. wybierającego się na odsiecz Wiednia*. Pogromca niewiernych stoi przed ołtarzem, trzymając w prawej ręce miecz a lewą przyciskając do piersi obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej. Otaczają go osoby z dworu i małżonka, Marya Kazimiera. Postawa króla pełna zapału, a twarz wyraża uniesienie i wysoki polot myśli. Rysunek śmiały a koloryt choć silny, nie przebiera miary.

Wyrok śmierci jest utworem tendencyjnym, skomponowanym na skutek krytyki, jaka spotkała artystę po wystawieniu Rejtana. Przedstawia on kilku mężczyzn na galeryi, z których jeden czyta wyrok z pargaminu trzymany w ręku, w głębi zaś widać rynek krakowski, z którym ma się odbyć egzekucya. Najważniejszą zaletą tego dzieła jest silne uwydatnienie typów narodowych; pozbawionym on jest zresztą wszelkich wybitniejszych efektów światła i barwy.

Wdzięczny portret przedstawiający dzieci artysty, odznacza się nadzwyczajną plastyką i realizmem w traktowaniu twarzy, na których lśni wyraz dość wysoko rozwiniętej inteligencyi. Dzieło to przedstawia nam duży postęp w porównaniu z pracami tego rodzaju, znajdującemi się na wystawie krakowskiej, a do których pozowały damy wielkiego świata galicyjskiego.

Tu wreszcie należą dwa pomniejsze obrazki, a mianowicie *Wróżba lirnika ukraińskiego*, oddana dramatycznie lecz szkicowo i bez koloru i *Zygmunt August dumający w ogrodach Radziwiłłowskich*, stanowiący najpierwotniejszą koncepcyą zanotowaną na płótnie.

Zwracając się do album rysunkowego, powiemy tylko, że o ile wydawnictwo to samo w sobie stanowi osobistą zasługę p. Lewentala, o tyle porównanie odnośnych kopij z ich oryginałami znajdującymi się na wystawie, przekonywa nas o bardzo małej ich wartości artystycznej. Najlepiej wyszły oryginalne rysunki samego Matejki, do których wykonywania najwięcej przykładano staranności. Zaznaczamy tu także pyszną kopię z „Kazania Skargi,“ zrobioną przez p. Redlicha.

Oto i wszystko cośmy mieli do powiedzenia. Kończąc, wyrażamy życzenie, aby nam kiedy było dano oglądać całkowity i zupełny zbiór arcydzieł mistrza, którego geniusz i pracę całem sercem uwielbiamy.

S. T.

Literatura, sztuka i nauka.

*** Z powodu obchodu stuletniej rocznicy J. J. Russa i Woltera, (pierwsza obchodzoną była w Genewie, druga w Paryżu), ukażą się i u nas dwie publikacye o tych znakomitościach i wpływie przez nich wywartym. *O Wolterze* napisał Aleksander Świętochowski, o *Russie* Piotr Chmielowski. Obie rozprawy już są w druku i niebawem oddane zostaną do rąk publiczności. P. Swiętochowski znanym jest u nas pod pseudonimem Okońskiego, p. Chmielowski prawie nieznany — obaj byli w początkach wydawnictwa *Tygodnia* współpracownikami tego *pisma*, dziś przebywają w Warszawie i tam wyłącznie prace swoje drukują. Głos powszechny przyznaje im niepospolity talent i rokuje, iż zajmą najpoważniejsze stanowiska w literaturze polskiej. To też zapowiedziane rozprawy obudziły w Warszawie interes powszechny i są z niecierpliwością wyczekiwane. Po ich ukazaniu się nie omieszkamy obeznać naszych czytelników z ich treścią.

*** W Lipsku wyszło świeże dziełko pt. *Historya żydów w Polsce* pod panowaniem Piastów i Jagiellonów, podług polskich i rosyjskich źródeł opracował Herman Sternberg.

*** *Biblioteki historycznej* wyszedł zeszyt 144 zawierający dalszy ciąg dzieła Oskara Peschla *Historya wielkich odkryć geograficznych*.

*** Profesor Spasowicz nie przestaje krzątać się na literackiem polu.

Ostatnim owocem jego pracy jest ciekawe studyum „O najnowszych zmianach w prawodawstwie karnem w Rossyi“, które się ukazało w Ateneum za lipiec.

*** Pan Michał Girdwojń, znany autor „Anatomii pszczoły“ i „patologii ryb“, został mianowany w dniu 21. czerwca r. b., w nagrodę swoich chlubnych prac naukowych, honorowym członkiem Akademii paryskiej.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że dwa wymienione dzieła zostały przełożone na języki: francuski i angielski, i w ciągu paru lat doczekały się w obu trzeciego wydania. Jest to najlepsze świadectwo ich wysokiej wartości.

Ostatnią pracą p. Girdwojnia jest: „Kilka uwag o przyrodzie łososia pospolitego i sposobie cechowania go w Anglii.“

P. Girdwojń w swoich podróżach naukowych zgromadził znakomity zbiór ryb krajowych i zagranicznych, który pragnął umieścić w warszawskiem muzeum przemysłowem. Dowiadujemy się, że tej ofiary nie przyjęto, tłómacząc się brakiem miejsca. Szkoda zaiste wielka, i postanowienie to wydaje się nam dość dziwnem, bo przecież muzeum, jak sama nazwa wskazuje, powinno być zbiorem okazów dotyczących rolnictwa i przemysłu, a rybactwo, lubo tak zaniedbane, gałęź rolnictwa stanowi. Zbiór pana Girdwojnia, u nas odrzucony, znajdzie niewątpliwie uznanie za granicą i tam pozostanie. Czyż zawsze stosować się do nas będzie przysłowie, że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju?

*** Sewer jak donoszą dzienniki warszawskie, napisał dramat pięcio aktowy po francusku, tytułu którego nie znamy, podobno z historyi komuny. Praca pomieniona przyjętą została przez teatr Gaité i sowicie opłacona. Czwarty to z kolei ziomek nasz, piszący dla sceny francuskiej w tym czasie; poprzednikami jego byli: Chojecki, Wysiński i Krystyn Ostrowski, prace których grywano w Paryżu pod pseudonymami.

*** Wszystkie dzieła znakomitego naszego ekonomisty Józefa Supińskiego będą przetłómaczone na język niemiecki. Praca ta wykonaną zostaje z polecenia i kosztem ministra Ziemiałkowskiego. Dziennik, z którego czerpiemy tę wiadomość dodaje przytem: „Nadmienić tu jeszcze wypada, że tłómaczenie to wykonanem zostanie podług rękopisu znacznie rozszerzonego, który autor przygotował do nowego polskiego wydania, a które znaleźć nie może nakładcy ani pośród księgarzy, ani pośród obywatelstwa krajowego, mimo że przedsiębiorstwo to nie jest niebezpiecznem“.

*** Towarz. Jabłonowskiego w Prusach ogłasza premium w kwocie 700 marek za porządny zbiór słowiańskich nazw miejscowości w państwie niemieckiem, poczerpnięty z możliwie najlepszych źródeł. Termin konkursu przypada w listopadzie 1878 r.

*** Paryskie Towarzystwo geograficzne rozdzielało zeszłego piątku w wielkiej sali Sorbony doroczne nagrody. Prezydował admirał La Roncière-de-Noury. Wielki medal złoty otrzymał sławny podróżnik afrykański, Stanley, który w sprawozdaniu po angielsku skreślonem, raz jeszcze przedstawił rezultat swoich znakomitych odkryć w Afryce środkowej. Nadto otrzymali złote medale: p. Vivien de Saint Martin za prace 75 letniego, całkowicie nauce poświęconego żywota, i dr. Hermand za połączone z wielu niebezpieczeństwy przebycie Kambodży, Laos i innych okolic Indyi.

*** Rafaelowska Akademia w Urbino na publicznem posiedzeniu odbytem na cześć urodzin wielkiego mistrza Rafaela del Sanzio, jednomyślnie obrała członkiem swym p. Jana Matejkę i przesłała mu do Krakowa medal z wizerunkiem Rafaela, oraz dyplom akademicki. List zawiadamiający nosi datę z Urbino z dnia 10. kwietnia rb.

Oświata ludu.

*** O wiecu włościańskim, odbytym w Krakowie, pisze „Czas“: Przez dwa święta odbywał się w mieście naszem wiec włościański, w którym wzięło udział około 280 włościan z różnych stron kraju przybyłych. Przeszło 100 gmin było reprezentowanych. W sobotę rano odbyło się nabożeństwo w kościele OO. Franciszkanów, wśród dnia zwiedzali włościanie pod przewodnictwem ks. Stojałowskiego pamiątki krakowskie. Wiec rozpoczął się w sali Towarzystwa strzeleckiego o godz. 5ej po południu pod przewodnictwem p. Borzęckiego. Przemawiali ks. Jan Siemieński, ks. Stojałowski i kilku włościan, z których p. Józef Świstalski najwięcej zyskał oklasków. W niedzielę po nabożeństwie był dalszy ciąg obrad, już pod gołem niebem w ogrodzie. Przemawiali także ks. Stojałowski, rektor Pijarów ks. Słotwiński, Józef Świtalski, znana autorka pisemek ludowych pani Leśniowska. Wieczorem byli włościanie na przedstawieniu w teatrze, na które dyrekcya dała 200 biletów darmo. Grano „Chłopów Arystokratów,“ „Błażka“ i „Berka zapieczętowanego.“ Wiec powziął następujące uchwały: Zawiązanie kółek ku podniesieniu oświaty i rolnictwa; odbywanie wieców miejscowych przy pomocy duchowieństwa parafialnego i właścicieli ziemskich; petycye do Sejmu o komasacyę gruntów i zebranie się na rok przyszły, jako w 800 rocznicę męczeństwa św. Stanisława.

*** Wiec ludowy w Bestwinie. Dnia 14. lipca w niedzielę o 4tej po południu odbędzie się w Bestwinie, (powiat Biała, stacya kolejowa Dziedzice) za uwiadomieniem c. k. starostwa w Białej: wiec ludowy katolicki pod przewodnictwem przew. ks. prałata Stojałowskiego, który przyjedzie do Bestwiny, i rozpocznie wiec nabożeństwem i kazaniem rano. Zaprasza się włościan powiatu Biała, a przedewszystkiem wsi okolicznych, jako to: Kaniowa, Janowic, Bestwinki, Dankowic, Jawiszowic, Starejwsi, Hecznarowic, Pisarzowic, Kóz, Bujakowa, Czańca, Kobiernic, Bulowic, Osieka i Komorowic, oraz wszystkich tak z Galicyi jak i Szląska, którzy się chętnie zechcą przyczynić do podniesienia oświaty ludowej. Program wiecu: a) Udzielenie wiadomości o wiecu prowincyonalnym odbytym w Krakowie. b) Przystąpienie do Towarzystwa oświaty ludowej założonego przez 280 włościan ze stu gmin z całej Galicyi zgromadzonych. c) Założenie czytelni ludowej dla gmin Bestwina, Bestwinka, Kaniów, Janowice z siedzibą w Bestwinie. (Na ten cel jest już 130 dzieł.) d) Porozumienie się w sprawie zakładania kółek rolniczych.

*** Czytamy w *Gwiazdce cieszyńskiej*:

Wycieczka rolnicza urządzona zeszłej niedzieli do Końskiej przez „Towarzystwo rolnicze dla Księstwa Cieszyńskiego“, powiodła się bardzo dobrze i sprzyjała jej pogoda. Zgromadzenie było liczne, a mianowicie wzięła w niem udział także znaczna liczba gospodyń. Gdy zebrano się w szkole, prezes Towarzystwa p. Jerzy Cieńciała powitał zgromadzenie, i nastąpiły odczyty, które mieli: ks. Świeży o nowym niszczycielu ziemniaków „kolorado“, p. Grycz z Łyżbic o znaczeniu „chleba“. Wybrano potem komisyą sprawodawczą, złożoną z pp. Schilbacha, Buzka z Kocobędza i Pawła Cieńciały z Mistrzowic i wyruszono w pola dla oglądania najprzód rolnego gospodarstwa jako też następnie domowego. Na teraz zaznaczymy tylko, że usiłowania rolników w Końskiej co do uprawy i czyszczenia roli, urządzenia łąk i td. znalazły zupełne uznanie. Po powrocie do dworku p. Jerzego Buzka nastąpiła przy posiłku pogadanka z toastami i była ochocza zabawa. Powracający odeszli z Końskiej z zupełnem zadowoleniem.

ROZMAITOŚCI.

Salomonowy wyrok. W niektórych departamentach francuskich istnieje dziki cokolwiek zwyczaj, iż ludność miasteczka czy wioski wyprawia szczęśliwym nowożeńcom po ślubie najniemelodyjniejszą kocią muzykę. Niedawno zaszczyt ten spotkał aptekarza w Pont d'Ain, który nie będąc widocznie amatorem kocich serenad, starał się zrazu w łagodny sposób pozbyć krzykaczy. Kiedy jednak w następną noc powtórzyły się wrzaski przed domem, rozgniewany wylał na tłum sporą ilość rozcieńczonego kwasu siarczanego. Środek ten odniósł pożądany skutek; serenady ustały, natomiast jednak aptekarz w kilka dni później otrzymał od sędziego wezwanie, ażeby się usprawiedliwił z piętnastu skarg, wniesionych przeciw niemu z powodu uszkodzenia kwasem siarczanym tyluż obywateli, poczem przez tegoż sędziego skazany został na odszkodowanie skarżących. Ofiara barbarzyńskiego zwyczaju jednak nie dała za wygraną i apelowała do

trybunału w Bourg, a ten wydał następujący, iście salomonowy wyrok: „Każdy z pozywających aptekarza winien jest zakłócenia spokojności publicznej i domowej oskarżonego, dla tego skazany jest na zapłacenie aptekarzowi takiej samej kwoty, jaką wywalczył na nim w sądzie pokoju jako odszkodowanie poniesionego od kwasu siarczanego szwanku.“

*** Z kroniki kongresowej, przepełniającej obecnie dzienniki berlińskie, wyjmujemy szczegóły o przepychu, z jakim występują teraz w Berlinie pełnomocnicy angielscy. W hotelu „Kaiserhof“ wynajęli oni 12 salonów, 18 pokojów sypialnych i 17 pokojów dla swych dworów, a to wszystko „na czas nieoznaczony.“ Salon lorda Beaconsfielda urządzony jest w stylu Ludwika XIV, sala zaś jadalna w stylu staroniemieckim. Każdy z pełnomocników posiada nadto swój gabinet, a zgromadzają się oni wszyscy w osobnej sali konferencyjnej. Z balkonów swych sal mają pełnomocnicy angielscy prześliczny widok na ubrane zawsze świeżą zielenią skwery placu Wilhelmowskiego.

*** Książę Gorczakow, przybywszy do Berlina, chciał pomimo podagry wyjść na schody do ks. Bismarka. Kanclerz niemiecki widząc to, pospieszył naprzeciw niemu, gdy wtem ks. Gorczakow poślizgnął się i upadł. Książę Bismark chcąc go podnieść, także upadł, historyczny zaś pies kanclerza niemieckiego, nieodstępny jego towarzysz, mniemając, że ktoś powalił jego pana, rzucił się na ks. Gorczakowa, którego ks. Bismark leżący obronić nie mógł. Pies jednak okazał się jeszcze względnie pojednawczym, bo lekko tylko ukąsił kanclerza moskiewskiego.

*** Roślinna igła magnesowa. Na równinach południowo-zachodniej części Unii amerykańskiej, czyli tak zwanych preryach, a szczególnie w stanie Texas i Oregon, napotkać można roślinę, posiadającą tę szczególną własność, iż zwraca ku północy swoje listki i tym sposobem służy podróżnym jako igła magnesowa, mianowicie wtedy, jeżeli inne środki są bezskuteczne dla odnalezienia kierunku drogi. Roślina ta należy do obszernej rodziny tak zwanych „złożonych“ (compositae), nosi nazwę Silphium laciniatum, jest rośliną trwałą, dorasta od 5 do 10 stóp wysokości, posiada liście pierzaste, głęboko wcinane, koszyczki kwiatowe żółte, dość okazałe, o kwiatach promieniowych słupkowych, środkowych zaś pręcikowych. Od dawna znaną jest polarność tej rośliny przez myśliwych, oraz innych mieszkańców preryi, którzy podczas ciemnych nocy odszukują łatwo kierunek drogi podług kierunku liści wspomnionej rośliny. Jak wiadomo, liście na roślinach w ogólności tak są osadzone, że górną powierzchnię zwracają ku niebu, dolną zaś ku ziemi, słowem osadzone są w płaszczyznach poziomych; u Silphium natomiast liście zwracają swe ostre brzegi ku górze i dołowi, czyli osadzone są w płaszczyznach prostopadłych, wierzchołek ich zaś i postawa czyli trzonek zawsze zwrócone są w kierunku od północy ku południowi, a więc w kierunku igły magnesowej.

*** Statua rzeczypospolitej, odsłonięta w dniu 30go zm. przez ministra spraw wewnętrznych w Paryżu, znajduje się przy wejściu do pałacu wystawy na polu Marsowem. Jest to ogromny posąg na wysokim piedestalu, noszącym napis R. F. (rzeczpospolita francuska), w prawej ręce trzyma ta olbrzymia postać kobieca miecz, w lewej zaś tablicę, na której wypisane te słowa: „Rzeczpospolita francuska, konstytucya z dnia 25. lutego 1875 r.“ Nadzwyczajne w Paryżu zrobiła wrażenie ta okoliczność, że w dniu 30go zm. rano zagrzmiało znów po 9 latach 101 strzałów przed gmachem Inwalidów. Od 15go sierpnia 1869 i od oblężenia stolicy nie słyszeli Paryżanie odgłosu potężnych dział przed tym gmachem się znajdujących. Przez cały dzień 30go czerwca rozlegała się marsylianka po ulicach Paryża.

POJEDYNEK NA BALONIE.

Figaro podaje ciekawą opowieść o wypadku, jaki się przytrafił przed miesiącem znanemu aeronaucie Hodardowi.

Wspomnione pismo przyjmuje na siebie wszelką odpowiedzialność za prawdę opowiadania swego.

Było to — mówi *Figaro* — w czasie przedostatniej podróży napowietrznej Hodarda. W łódce z nim znajdował się jeden tylko współpodróżnik, jakiś bogaty dziwak, który zapłacił tysiąc franków za możność podzielenia z żeglarzem powietrznym niebezpiecznej wycieczki. Pogoda była piękna, balon szybko wzbił się na znaczną wysokość.

— Jakiegoż wrażenia pan doświadcza? — spytał Hodard towarzysza swego.

— Żadnego — brzmiała lakoniczna odpowiedź.

— Pozwól pan powinszować sobie, jesteś pierwszym, którego mam sposobność widzieć tak spokojnym na tej wysokości.

— Wznoś pan się wyżej — rzekł podróżnik, z niewzruszoną flegmą.

Aeronauta wyrzucił trochę balastu. Balon podniósł się jeszcze o pięćdziesiąt metrów.

— Cóż pan uczuwasz teraz? bije panu serce? — pytał Hodard.

— Nie jeszcze — odparł towarzysz z miną, zdradzającą niecierpliwość.

— Masz pan wszelkie kwalifikacye zostać napowietrznym żeglarzem.

Balon podnosił się coraz wyżej i wyżej. Przeszybowawszy jeszcze sto metrów w górę, Hodard po raz trzeci zwrócił się do swego towarzysza z zapytaniem:

— No, a teraz?

— Nic, stanowczo nic! Ani cienia jakiegobądź strachu, odparł z niezadowoleniem, jakby doświadczał rozczarowania.

— Nie ma co robić! — rzekł Hodard — muszę się zrzec nadziei wzruszenia pana czemkolwiek. Balon wzniósł się dosyć wysoko. Teraz zaczniemy opadać.

— Opadać?!

— Naturalnie. Wznosić się jeszcze wyżej jest niebezpiecznie.

— To mi wszystko jedno. Ja nie chcę spuszczać się na dół.

— Co? pan nie chcesz! — pytał Hodard, niedowierzając swoim uszom.

— Mówię, że chcę się wznosić jeszcze wyżej: wciąż wyżej i wyżej! Zapłaciłem tysiąc franków za to, aby doznać jakiegoś wzruszenia. Dopóki nie osiągnę celu, nie możemy się opuścić na dół.

Hodard się śmiał. Sądził on zrazu, że to żart.

— Będzieszże pan wznosił się w górę? pytam jeszcze raz! — krzyknął współpodróżnik, chwytając za gardło wystraszonego aeronautę, i wstrząsając nim z szaloną zaciekłością. Kiedyż ja nareszcie doznam wzruszenia?

Hodard uczuł, że jest zgubionym. Jak grom uderzyła go myśl nagła, nagłe odkrycie. Spojrzawszy w rozszerzone źrenice swego towarzysza, zrozumiał nareszcie, że ma do czynienia z waryatem.

Waryata przekonać niepodobna; na pomoc przyzwać nie ma kogo wśród obłoków; broni podróżnik nie miał żadnej. Nikt przecież spodziewać się nie może, aby wśród chmur napotkać zbójców! Tymczasem najmniejszy ruch obłąkanego, mógł wywrócić łódkę. Wszystkie te uwagi przemknęły w myśli Hodarda w ciągu sekundy.

— Ha! ty śmiałeś się ze mnie?— ciągnął dalej obłąkany, nie puszczając z uścisków aeronauty. Wziąłeś tysiąc franków i nie dajesz mi wrażeń? Poczekaj! Bądź spokojny, teraz na mnie kolej śmiać się.

Waryat rozporządzał ogromną siłą muskułów; Hodard nawet nie próbował stawiać oporu.

— Czegoż pan chcesz odemnie? — spytał nareszcie pokornym tonem.

— Czego? Zobaczę jak się pokoziołkujesz na dół odrzekł tamten z straszliwym śmiechem. — No, zresztą najprzód pójdę szukać wrażenia tam w górze. Chcę się przejechać wierzchem na balonie.

I rozmawiając w ten sposób, zaczął się piąć po linach, na których łódka przytwierdzoną była do balonu. Hodard zadrżał o niego.

— Ależ pan się zabijesz, nieszczęsny! Zawróci się panu w głowie!

— Proszę nie robić żadnych uwag, inaczej natychmiast cię wyrzucę precz!

— Przynajmniej pozwól pan obwinąć się sznurem, aby być przytwierdzonym do balonu.

— To można — odparł waryat, który, zdawało się rozumiał całą użyteczność takiej ostrożności.

Obwiązany sznurem począł się wspinać w górę ze zręcznością wiewiórki. Po chwili usiadł na półkolu, znajdującem się w górnej części balonu, zaśmiał się tryumfująco i wyjął nóż z kieszeni.

— Co pan myślisz robić? — pytał przerażony Hodard, w obawie, aby mu nie przyszła myśl rozpruć balon.

— Przedewszystkiem, chcę się ulokować wygodniej.

To mówiąc, waryat szybko przerznął linkę bezpieczeństwa, którą go owiązał Hodard Dosyć było teraz najmniejszego podmuchu wiatru, któryby wstrząsnął balonem, aby nieszczęśliwy spadł w przepaść Aeronauta zasłonił oczy, aby nie widzieć. Waryat tymczasem klaskał w dłonie i kułakami przynaglał balon do szybszego lotu.

— A teraz — zawył raptem, wywijając nożem — teraz my się pośmiejemy! A, rozbójniku! tyś chciał mię zmusić do spuszczenia się? Ja ciebie spuszczę samego, i to prędzej niżeś się spodziewał!

Hodard nie zdążył wymówić słowa, ani zrobić ruchu; nie zdołał on jeszcze pojąć, jaki był zamiar obłąkanego, gdy tenże oderznął już kilka sznurów, trzymających łódkę, która przechyliła się silnie na bok, wisząc tylko na dwóch sznurach. Hodard chwycił się za nie konwulsyjnie. Nóż waryata zbliżał się do tych ostatnih nici ratunku, chwila jeszcze, a wszystko będzie skończone.

— Tylko słowo jedno! — zakrzyczał Hodard.

— Nie! nie ma litości! — zawył obłąkany.

— Ja nie proszę o litość, przeciwnie!

— Czegoż więc chcesz? — pytał waryat zadziwiony.

— Jesteśmy teraz na wysokości półtora tysiąca metrów.

— To bardzo przyjemnie, wysypać się z takiej wysokości!

— Nie, to jeszcze nie dość wysoko — kontynuował Hodard.

— Jakto, nie dość wysoko?

— Tak jest. Ja wiem z mego długiego doświadczenia, że spadając z takiej wysokości, zabić się nie można, a wolę już śmierć niż kalectwo. Daj mi pan prolongatę i zrzuć mnie gdy będziemy na wysokości trzech tysięcy metrów.

— Zgoda — rzekł waryat, któremu widocznie podobała się ta myśl.

Hodard, heroicznie dotrzymał obietnicy; wyrzucił mnóstwo balastu, balon w kilku sekundach wzniósł się jeszcze o 200 metrów. Lecz gdy obłąkany z zajęciem śledził tę jego czynność, aeronauta zdołał wykonać zupełnie co innego. Zauważył on, że w liczbie ocalałych sznurów jest sznur od klapy, urządzonej w górnej części balonu, do wypuszczania zbytniego wodorodu. Niepostrzeżenie otworzył klapę.

Rezultat okazał się natychmiast. Waryat, pod wpływem wydobywającego się gazu, naraz wpadł w stan omdlenia. Hodard szczęśliwie się spuścił z balonem. Był uratowany. Zaledwie stanął na ziemi, związał waryata, zostającego jeszcze bez przytomności i odwiózł do najbliższego urzędu.

Od Redakcyi.

Pan Mikołaj Biernacki (M. Rodoć) zostawszy współwłaścicielem **Tygodnia**, *z dniem dzisiejszym wstępuje do redakcyi.*

Treść Nr. 46.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.